

Nr. 15. Rok 42.

Poznań, dnia 12 kwietnia 1936 r.

Cena 20 gr

Przewodnik Katolicki

Ilustrowany tygodnik

Redaktor założyciel

X. Józef Klos,

dla rodzin katolickich

redaktor nac.

X. Fr. Forecki



BO ZMARTWYCHWSTAŁ SAMOWŁADNIE – JAK PRZEPOWIEDZIAŁ DOKŁADNIE.

A. Noack.



St. Wyspiański

ZMARTWYCHWSTANIE

Przez Twe Wielkie Zmartwychwsta-
żywoł wszelki budzisz, Panie. [nie
Budzisz ze snu, żywoł dajesz,
w wszelkim bycie zmartwychwsta-
jesz.

Ostań z nami na dniu wielkim,
Zmartwychwstały Boży Lew.
Bądź pochwalon w bycie wszel-
chwalbę Twoją głosi śpiew. [kim,

Bądź pochwalon chwałbą pieśni,
bądź pochwalon w gromie burz.
Duch się Twój niechaj cieleśni.
ponad groby żywoł twórz.

Biją dzwony, trąby grają,
huczą gromy, wicher rwie.
Chwalbę Twoją dziś śpiewają,
Zmartwychwstały Boży Lwie!

RADOSNEGO ALLELUJA

życzy Redakcja „Przewodnika Katolickiego” Jego Eminencji Najdostojniejszemu Ks. Kar-
dynałowi Prymasowi Augustowi Hlondowi, Jego Eminencji Najdostojniejszemu Ks. Kar-
dynałowi Aleksandrowi Kakowskiemu, Ich Ekscelemjom Najprzewielebniejszym Księżom
Arcybiskupom i Biskupom całej Polski, Przewielebnemu Duchowieństwu, Szanownym
Współpracownikom i Drogim Abonentom, Przyjaciołom i Czytelnikom naszego pisma.
Niech radosne Święto Zmartwychwstania, ukoronowanie Dzieła Odkupienia, napelni nas
wszystkich Łaską i Pokojem Chrystusowym.

Ewangelje o Zmartwychwstaniu Pańskim

Mateusz, 28, 1—4, Marek, 16, 1—7, (Łukasz, 24, 1—7), Jan, 20, 1—10

A po szaba-
cie, gdy w
niedziele świ-
tać zaczynało, wy-
szła Marja Ma-
gdalena i druga Ma-
rja, by obejrzyć grób.
A oto powstało wiel-
kie trzęsienie ziemi. Al-
bowiem Anioł Pański
zstąpił z nieba, a zbli-
żwszy się, odsunął ka-
mień i usiadł na nim.
I była postać jego niby
błyskawica, a jego szaty
białe jak śnieg. A z bo-
jaźni przed nim strażnicy
zadrżeli, i jakby pomarli.

Gdy zaś szabat minął,
Marja Magdalena i Marja
matka Jakóba, i Salo-
me zakupiły wonno-
ści, by pójść i na-
mścić Go.

Wczesnym
tedy rankiem
w niedzielę
przychodzą

one do grobu już po wschodzie słońca.
Mówiły zaś między sobą; Kto nam odwali
kamień od otworu grobowego?

I podniósłszy oczy, spostrzegły, że ka-
mień był odwalony — a był on bardzo wiel-
ki. Weszły tedy do grobu i po prawej stro-
nie ujrzały młodzieńca siedzącego, odzia-
nego w białą szatę, i zdumiały się. On
zaś rzekł do nich: Nie trwóźcie się! Szuka-
cie Jezusa Nazareńskiego, ukrzyżowanego?
Powstał z martwych; niemasz Go tu. Oto
miejsce, gdzie Co złożono! Atoli idźcie,
powiedzcie uczniom Jego i Piotrowi: „Idzie
przed wami do Galilei: tam Go zobaczy-
cie, jak wam zapowiedział“.

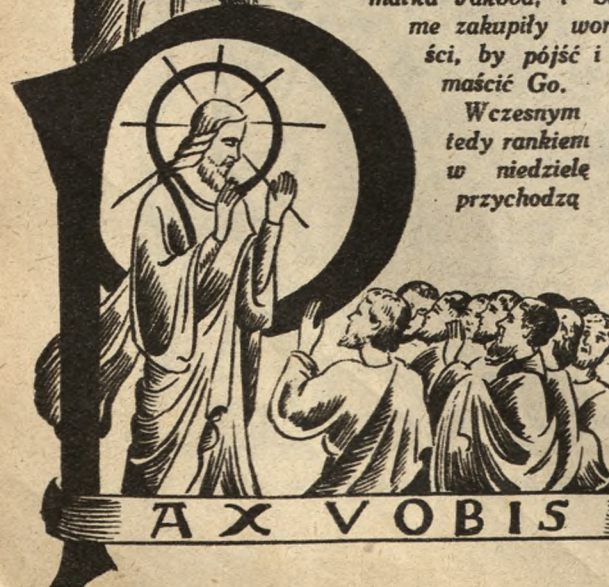
A w niedzielę nad ranem, gdy jeszcze
ciemno było, przychodzi Marja Magdalena
do grobu i widzi, że kamień od grobu jest
odwalony. Bieży przeto i przybywa do Szy-
mona Piotra i do drugiego ucznia, któ-

rego Jezus miłował, i rzecze do nich: Za-
brano Pana z grobu, a nie wiemy, gdzie
Go położono.

I wybrał się Piotr i ów drugi uczeń
w drogę i przybyli do grobu. A obaj ra-
zem biegli; — ale ów drugi uczeń wyprze-
dził Piotra, i pierwszy przyszedł do grobu.
A schyliwszy się, widzi leżące taśmy; —
wszelako nie wszedł.

Nadchodzi tedy Szymon Piotr, który po-
dązał za nim, i wchodzi do grobu i oglą-
da leżące taśmy, a także chustę, która
była na głowie Jego, a nie leżała razem
z taśmami, lecz oddzielnie była zwinięta
na osobnym miejscu. Wtedy więc wszedł
i ów uczeń, który pierwszy przybiegł do
grobu; — i spojrzął i uwierzył. Nie ro-
zumieli bowiem jeszcze Pisma, iż trzeba
było, aby ON z martwych powstał.

I odeszli znowu uczniowie do siebie.





NASZA WIELKANOC

„Wy zaś będziecie mi świadkami w Jeruzalem i w całej żydowskiej ziemi i w Samarii i aż na kraj ziemi!”
Dz. Ap. 1. 8.

Dziwną zaiste Wielkanoc przeżywa na całym świecie tego roku Kościół katolicki.

Mówi Pismo św., że Chrystus po swoim zmartwychwstaniu żyje takim życiem, iż już więcej nie umrze, a nawet umierać nie może! (Rzym. 6, 9).

Wrogowie nasi nie mogą Chrystusa osiągnąć w niebie, chcieliby go zabić przynajmniej tutaj na ziemi. Dlatego gaszą i tłumią pamięć o Jego zmartwychwstaniu. Dlatego usuwają z serc ludzkich Jego panowanie. Dlatego podkopują szacunek i miłość dla Jego nauki. Którzy zaś mimo wszystko Chrystusa wydrzeć sobie nie pozwalają, tym gwałtownie zamykają usta, grożąc więzieniem, „unieszkodliwieniem” lub nawet zabiciem!

Nie mogą zniszczyć samego Chrystusa. Dlatego starają się zniszczyć Jego dzieło: święty katolicki Kościół. Otwierają więc huraganowy ogień na Ojca św., na naszych biskupów, kapłanów i wszystkich czołowych wiernych. Piętnują religię jako opium oślepiające, wskazują na Kościół jako na siedzisko Ciemnogrodu, a katolicyzm charakteryzują jako zaporę na drodze do postępu ku dobremu. Kują prawa nowe, powołują osobne organizacje, tworzą instytucje i budują ogromnym nakładem środków finansowych, któreby mogły zapobiec niejednej klęsce bezrobocia — cały system prześladowania i tępienia tego wszystkiego, co chrześcijańskie i religijne. Tak jakby religia Chrystusowa prawdziwym przekleństwem była ludzkości! Do walki z Chrystusem mobilizują niejednokrotnie cały aparat państwowy, sąd i więzienie, policję i wojsko, prowokację i szpiclostwo! Podburzają masy, ażeby „żądały zamiast Jezusa — Barabasa” (Łk. 15, 11).

W takich to warunkach muszą katolicy w wielu stronach przeżywać swe święta wielkanocne.

Przed kilku laty wysłał pewien wielki zakon specjalną delegację do Rzymu, by od Ojca św. uzyskać pozwolenie na opuszczenie terenu misyjnego, w którym praca misyjna żadnych nie przynosiła owoców. Zakon chciał tamtejszych misjonarzy osadzić na innej więcej owocującej roli! Usłyszeli odpowiedź: Pozo-

stać! Wytrwać! Żyć w przekonaniu, że jesteście tam „świadkami Chrystusa”.

My wszyscy bez wyjątku, chcący duszę zbawić, jesteśmy świadkami Chrystusowymi i musimy Go opowiadać, gdziekolwiek jesteśmy. Pan Jezus wie, jak ciężko przychodzi nam niejednokrotnie to świadczanie Chrystusowe! I dlatego mówi:

„Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, a duszy zabić nie mogą. Wszelki, kto mnie wyzna przed ludźmi, wyznam go ja też przed Ojcem moim w niebieszech. A któryby się mnie zaprzął przed ludźmi, zaprzę się go i ja przed Ojcem moim, który jest w niebieszech.”

Czy wrogowie zwyciężą? Czy zdołają Jezusa wyrzucić poza nawias narodów? Lud trwający przy Chrystusie wiernie, jest tak samo niezwyciężony i nieśmiertelny, jak sam Chrystus. Niema takiej siły, która potrafiłaby Go zgnieść lub zniszczyć.

Cóż szkodzi, że Piłat i Herod podali sobie rękę? Zaatakują nas, będziemy się bronili! Spalą nam świątynię! Zejdziemy do katakumb, lecz zgnieść się nie damy. Burza zmiecie plewy. Ziarno zdrowe, narazie ukryte i niewidzialne, doczeka się z pewnością lepszych czasów. Nam Chrystus sam wyraźnie powiedział: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot. Kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie”. Ufajcie, jam zwyciężył świat.

Ale jak zwyciężać?

„Toć jest zwycięstwo nasze, wiara nasza!” — mówi św. Jan w swym pierwszym liście (5. 4). A więc wiarą swą, świętą pokonamy naszych wrogów. Jeśli dodamy do zwycięskiej wiary jeszcze większą potęgę naszej duszy, świętą cnotę nadziei, tej nadziei, która liczy na wieczną nagrodę i wieczne zbawienie, wtedy zwycięstwo nasze jeszcze będzie pewniejsze. Z całą zaś pewnością odniesiemy zwycięstwo, jeżeli wyprowadzimy na pole walki największą armatę, największą moc naszej duszy, tę wogóle największą siłę, jaka jest „na niebie i na ziemi” — miłość! Tam, gdzie ona króluje, nic nie znaczy na dłuższą metę, ani złość szatańska, ani nienawiść ludzka, ani wszelka najwięcej choćby zorganizowana i uzbrojona potęga! Wiara, nadzieja, miłość, to nasza broń, to nasze wieczne Alleluja! To zadatek najzmartwychwstania! — Dlatego nie patrzeć szłość. Chrześcijaństwo już gorsze przechoi i zwyciężało. Czasy prześladowania były czasami największymi Kościoła i najbliższymi Bogu — Christus Victor Rex — Jezus królujący i zwyciężający jest i pozostanie zawsze z nami! Jak to odezwał się Pan Jezus w czasie burzy do strwożonych Apostołów? — „Ja śpię, ale serce moje zawsze czuwa!”



ALLELUJA, NIE PŁACZ MARJO





Cukrowy baranek

Szkice z życia

głosów młodych, tupotem dziecinnych nóżek, śmiechem radosnym. Dzieci, wnuki, prawnuś malutki...

Wszyscy najmiłsi.

Jakież to dla niej radosny dzień, gdy ich zobaczy wkrąg stołu! Jakież to wielkie święto dla niej.

Na stole ustawia babunia wazon pełen kwitnących kocianek; wiosenny zapach przesyca powietrze, wybija się ponad woń szynki i ciast.

Tadziusiowi trzeba jeszcze jedną poduszkę na stołek położyć, bo miałby nisko; taki jest jeszcze malutki, prawnuś, drobina.

I co to jeszcze? Święcone jajko pokrajać, przy każdym nakryciu położyć liljowy kwiatusek sasanki, żeby było w domu trochę z tej wiosny, z pola i słońca.

— Róziu, pokrajałaś już szynkę?

— Może pani spróbuje sosu, czy nie za ostry?

— Nie, w sam raz. Indyk się udał, taki tłusty.

Z pod noża spadają płaty białego mięsa, przybrane ciemną barwą nadziewki. Zięć lubi.

Rózia w białym fartuszkowi uwija się po kuchni; mogą zaraz nadejść, a tyle jest jeszcze roboty. Jej młoda twarzyczka radosna jest. Mimo ogromu pracy, cieszy ją, że się wszystko udało, że po rozkrajaniu placek taki wyruszany, wypieczony, aż się pani starsza uśmiecha i chwali:

— Jakby z cukierni wyszedł, moja Róziu.

— A tort, niechno pani popatrzy, aż ślinka idzie — pyszni się Rózia.

— A gdzie to pan starszy? — niepokoi się nagle babulina.

— Poszedł zdaje się do ogrodu, w słoneczku posiedzieć.

— Żeby tylko do miasta nie poszedł! Tak się zawsze boję; te samochody, wie Rózia... Kurcz za nogę złapie i jak tu przejść. Niechno Rózia idzie zawołać pana. Lata to już przecież, a kwietniowy wiaterek zdradliwy.

Ale oto słycać już człapiące kroki dziadzi.

— Właśnie

— Gdzież

dusiu? Dzieci tylko co nie widać, a pan starszy sobie na spacerki chodzi i to do miasta.

— W kościółku się zasiedziałem. Ale, ale kupiłem coś wczoraj dla ciebie.

— Dla mnie?

Rozbawione mrugnięcie błękitnych oczu.

— Dla ciebie.

Babunia odbiera paczkę, rozwiązuje błękitne wstążeczki, ciekawa jest jak mała dziewczynka, co też tam może być?

Z bieli bibulek wyłania się cukrowy baranek pasący się na pistacjowej łące, z czerwoną chorągiewką i dzwoneczkiem ze srebrnej blachy.

— Wszystko się widzisz zmieniło, a baranki są takie same... jak wtedy i... dlatego kupiłem.

Dlaczego oczy babci wilgotnieją nagle łzami?

Stawia baranka na honorowym miejscu pod kociankami i tak się zamyśliła, że nie słyszy dzwonka ani radosne-

pan wraca.

to byleś, dza-

go śmiechu wnucząt i wzdryga się, gdy ją obejmują ramiona córki.

— Gdzież to mamusia bywała, że nawet nie zauważyła, żeśmy przyszli?

— W krainie wspomnień, córeczko.

— Daleko!

— Tak, ty tam jeszcze nie bywasz, dla ciebie jest dziś i jutro, a dla mnie... wczoraj. Dziadus przyniósł mi cukrowego baranka... a przed laty też przyniósł takiego samego, dla ciebie, Tadziu.

Syn chylił się do jej zwiędłej ręki.

— No i pewno była jakaś tragedia — zjadłem go.

— Nie, tragedia była przedtem... właśnie pomyślałam sobie, że gdyby nie ten cukrowy baranek, nie byłoby was może tutaj, ani Janki, ani Wali, ani wnusiów... ani tego szczęścia.

— Ani może mnie.

Dziadzio ogarnia ją ramieniem i całuje siwe włosy gorąco i tkliwie.

— Żeby był wiedział, że cię to tak wzruszy...

— A czy to takie wzruszające? — pyta któraś z córek.

— Przejdźmy do saloniku, zanim Rózia wszystko przygotuje i opowiedz im, dziadziu. Ja nie mogę, boby mi łyzy nie dały. Takie mam teraz głupie usposobienie — zaraz o wszystko płaczę.

— Opowiedzieć... No, hym... dobrze, opowiem. — I dziadzio spogląda na córki i na wnuczki. — Przydać się wam może.

Usiedli wszyscy w saloniku; dzieci pobiegły do ogrodu, a dziadzio umieszczył się obok babci i jej szczupłą rękę wziął w swoje kościste dłonie.

— Było to w przeddzień Wielkiejnocy, przed pięćdziesięciu laty. Byliśmy z babcią dopiero dwa lata pobrani, a z was wszystkich dopiero, jeden Tadek, był na świecie. Otóż kilka dni przed świętami były takie generalne porządki, zamiatanie, szorowanie, wywracanie domu do góry nogami, babunia była młoda, teściowie mieli przyjechać, wszystko się musiało lśnić, jak lustro. Poszedłem sobie do miasta. Młody byłem, był post, w domu tylko śledzik, panie tego, skusiło na kanapkę i kiełiszczyk. Jakoś człowiek znajomych spotkał — same ofiary świątecznych porządków. Po jednym kieliszeczku poszedł drugi, potem trzeci, a w końcu przestało się liczyć. Wyszedł człowiek wieczorkiem, trochę się świat kręcił, ale co tam, więcej takich postnych mężów w ten sam nieco niepewny sposób wracało do domu. Wiosna, panie tego. Po drodze zobaczyłem wystawę u cukiernika. Właśnie jakaś panią w białym fartuszkowi ustawiała nową serię cukrowych baranków.



— Wszystko się widzisz zmieniło, a baranki są takie same.



Myszę sobie: — To ty, ojciec wyrodny, pieniądze na wódeczkę wydajesz, a synkowi toś baranka nie kupił? A ucieszyłby się basatyk, ucieszył. — Wstąpiłem, kupiłem, a jakże, włożyłem w kieszeń pałta i już z lepszym sumieniem maszerowałem do domu. Wiadomo, dziecko za rękę, matkę za serce. Przychodzę... No i jak to wtedy było, babuniu?

— Cóż, czekałam całe popołudnie, niepokoiłam się, modliłam, wkońcu sama nie wiedziałam już co robić, czy ubrać się i iść ojca szukać, czy czekać dalej, aż tu wchodzi...

— Uśmiecha się głupio i gada coś piąte przez dziesiąte, że to niby post, że jeden kieliszeczek w głowie zakręci, no i w ten deseń... Prawda, babciu? — przerywa dziadus.

— Prawda...

— No, a babcia, że to zdenerwowana była porządkami i mną, więc kazała. Od słowa do słowa, zrobiła się awantura... Ona mnie nagadała, ja jej. Przestaliśmy się liczyć ze słowami, każdy drobiazg urastał do bezmiaru, słowa raniły, patrzyliśmy na siebie pierwszy raz jak wrogowie...

— Na własną zabawę masz, a dla żony, dla dziecka każdego grosza żałujesz.

— A ja — ożeniłem się, żeby mieć spokój, ciszę, piękno, a mam piekło.

— Mogłeś się nie żenić. Wogóle...

— Co?!

— Zabiorę Dudusia i wrócę do mamy. Tam mnie nikt nie obrażał i wszyscy kochali.

— Proszę, wolna droga. Baba z wozu, koniom lżej. Ale pocóż ty masz iść? Przecież meble twoje, wyprawne, a ja nic twojego nie chcę. Miałem walizkę, pójdę z walizką. A ty sobie zostań.

Zacząłem wściekły z gniewu wrzucać moją garderobę do walizy, wetknąłem papiery z biurka. Ktoś za mną wołał, nie oglądnałem się, trzasnąłem drzwiami, ulżyło mi to trochę. No i do kolegi. Mieszkał o dwie ulice dalej, zdziwił się mocno, bo uchodziliśmy za wzorowe małżeństwo, a tu nagle, grom z jasnego nieba. Długo w noc siedzieliśmy na łóżku i omawiali całą sprawę i dziwne, to co przedtem wydawało mi się takie oburzające, stało się w opowiadaniu nikłe i takie jakies śmieszne raczej, niżeli tragiczne. Bo właściwie o co? Jej wina, czy moja wina? Było nam dobrze razem, kochaliśmy się, i na-

gle, od słowa do słowa... I... siedzę w kawalerskim pokoju, z walizką wyładowaną do pęknięcia, a Ola? Pewno płacze.

Trudno jednak, stało się, postanowiliśmy się rozjeść. Ona mnie nie przyjdzie przeprosić, a mnie też duma nie pozwoli szukać powrotnej drogi. Niema już kroków naprzód, zostały tylko kroki wstecz. Choćbym miał zginać z tęsknoty za nią i za synem! Dudus małeńki! Jutro przyjadą teściowie, no i koniec. Kolega mówił, że właściwie nie widzi powodu. Ja, widziałem. Zapraszaliśmy się wzajemnie do spania, on mnie, w poczuciu gościnności odstępował łóżko, ja jemu.

— Słuchaj, Franek! Nie widzę powodu, żebyście się dla kilku kieliszków mieli rozchodzić. Macie syna.

— Właśnie, u teściów będzie im obojgu dobrze, jak powiedziała Ola.

— Teraz też może myśli inaczej.

— Nie będę ją o to pytał.

— Jesteś uparty, jak kozioł.

— Nie przywykłem wracać tam, skąd mnie wyrzucono.

— No, to nie wracaj, ale śpij. Bo już rano, a my wciąż wkółko to samo.

Wzruszył ramionami, ziewnął, wspaniało myślne przerzucił na moją stronę połowę koca i chrapanął. Ja też.

Obudziło nas słońce. Kolega mył się, elegancko, wkońcu mruknął:

— Idę do mamy, a potem do narzeczonej. Jak ci się będzie chciało jeść, to chleb jest w szafie.

I poszedł.

Zostałem sam, z tym chlebem w szafie. Święto, wszystkie jadalnie zamknięte, co robić... Trzeba pościć i dziś za wczorajsze grzechy.

Co też robi Ola? Płacze pewno. Widziałem niemal jej jasną główkę przytuloną do Dudusia i jej oczy pełne łez. Nigdy nie mogłem patrzeć

na jej łzy, zaraz mnie coś dusiło w gardle. No, trudno, sama chciała. Przyjadą za godzinę teściowie, utulą, upieczą, jedynaczkę, zabrają...

A ja...

Wyszedłem na ulicę. Pełna była radosnego, wiosennego słońca i uroczystej ciszy. I tylko dzwony... Przejmujące, radosne dzwony.

Każdy miał swoje gniazdo, miał gdzie wrócić i tylko ja... Przy moim stole niema dziś dla mnie miejsca.

Sam się wygnałem ze swojego domu, a teraz duma nie pozwala wrócić.

Poszedłem do kościoła, a potem wróciłem do mieszkania kolegi. Od święta zapomniano zapalić w piecu i jak na złość zapomniałem w domu tytoniu. A tam już przyjechali teściowie i Ola pewno powiedziała wszystko.

Tadzius tam może pyta swoim słodkim, dziecięcym głosikiem:

— Tata, gdzie tata?

A Ola mówi:

— Tata pojechał.

A słaby głosik może dzwoni żalownie:

— A mój bajanek? Obiecał mi bajanka i pojechał...

(Ciąg dalszy na str. 236)



— ...A tu nagle Ola objęła mnie za szyję...



1932

1933

Cztery Wielkanoce w Afryce

1934

1935

Obóz nad rzeką CHARI (SZARI) —
TCHAD (CZAD) A. E. F.
marzec 1936.

Rok 1932.

Święta, w które byłem na progu śmierci. — Osleplem!...

Był prawie koniec marca, a o tej porze Sahara jest już piecem piekarskim.

Mimo szalonego upału włókłem się przez dnie całe. Jak daleko wzrok sięgał, nie było widać nic... Ani jednej choćby palmy samotnicy — ani jednego drzewka — nigdzie, któreby rzuciło choćby małą plamkę zbawczego cienia na białą, bezkresną płaszczyznę, pokrytą kożuchem pyłu. Mój jedyny przyjaciel i towarzysz podróży rower rył w niej głębokie bruzdy.

A jeszcze kilka dni temu było tak zielono, gwarnie i przytulnie! Oaza TRAGHEN śmiała się zielenią palm daktylowych i małych pólek jęczmienia, który właśnie okrył się kwieciami.

Dzień i noc bez przerwy skrzypiały koła studzienne i coraz to nowe wiadra skórzanne, ciągnięte przez ludzi i osiołki, wlewały się do zbiornika. A z niego płynęły potem strumyki życiodajnego płynu, aby nawodnić coraz to nowe pola i ogródki.

Czasem przeszła karawana wielbłądów, przybywająca z dalekiego „UED” (koryto wyschłej rzeki) a poczciwe garbusey dzwigały na grzbietach całe fary „HATAB”, saharijskiego drzewa, które zarazem służy za pokarm wielbłądom i jako opał.

Święta Wielkanocy chciałem spędzić w małej oazie EL-FUGHA. Ruszyłem dobrze jeszcze przed wschodem słońca. Żadnego śladu drogi, żadnej ścieżyny! Jedynym przewodnikiem niebiosa, ten odwieczny drogowy znak podróżnych, których los gna przez pustynie.

Bezwzględna cisza pustyni zamienia się w przepiękny koncert dzwonów. Dzwonią i dzwonią, zda się coraz głoś-

nie pozwala mi stwierdzić drogę, którą przebyłem i tę, która mnie jeszcze czeka.

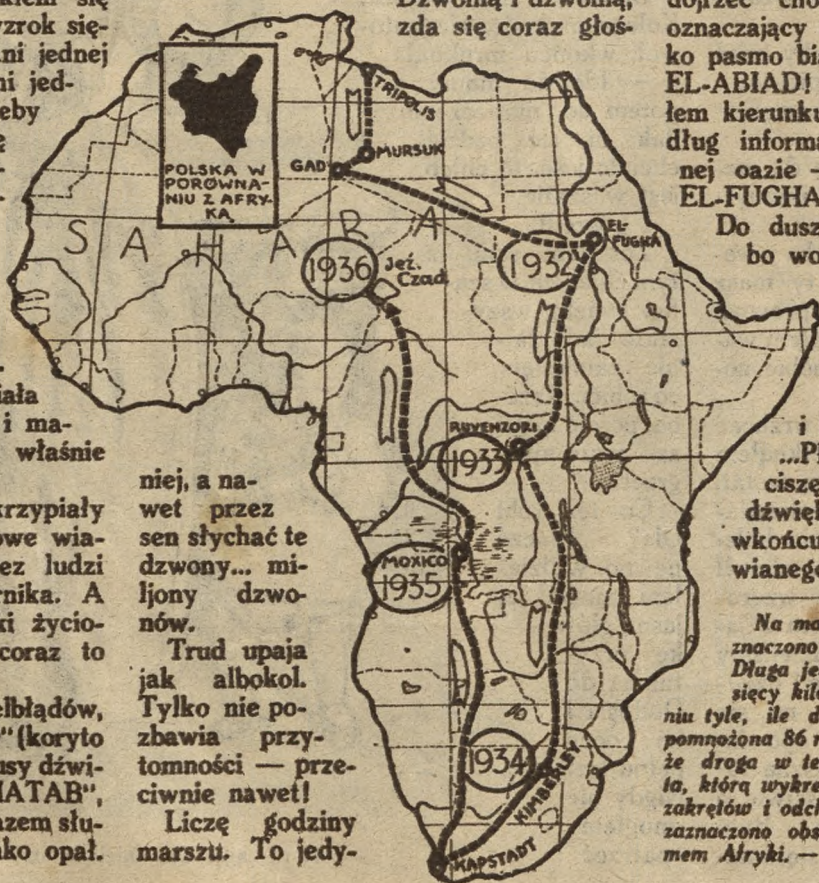
Rower co dnia jest lżejszy, ubywa bowiem i wody i żywności, a także drzewa, które trzeba wlec ze sobą. Zrazem ubywa sił.

Minęły dnie. Już piąty zachód słońca się zbliżał, a na horyzoncie ani rusz dojrzeć choćby jeden ciemny punkt oznaczający drzewo. Wyłoniło się tylko pasmo białych gór. To HARUDZI-EL-ABIAD! Znaczy to, że nie zmyliłem kierunku, i że jutro najdalej — według informacji uzyskanych w minionej oazie — winienem osiągnąć oazę EL-FUGHA.

Do duszy jednak wkrada się lęk, bo wody taka odrobinka tylko — a jeszcze nie widać tej, pełnej nadziei, czarnej linijki, która zwiastuje oazę. Sił mało — a jednak długo w noc brnę i brnę...

...Płoną radośnie gwiazdy... W ciszę pustynnej nocy biegnie dźwięk polskiej modlitwy. Brakło wkońcu ziarenek różańca, odmawanego nie tylko wargami —

Na mapie Afryki linijka przerywana zaznaczono drogę, jaką dotąd przebył autor. Długa jest ona niewiele więcej jak 26 tysięcy kilometrów (to znaczy w przybliżeniu tyle, ile droga z Poznania do Warszawy pomnożona 86 razy). Trzeba oczywiście przyjąć, że droga w terenie nie biegnie tak prosto, jak ta, którą wykreślił na mapie, ale pełna jest zakrętów i odchyłań. — W tabelce porównawczej zaznaczono obszar Polski w porównaniu z ogromem Afryki. — U góry: Krajobraz afrykański.



niej, a nawet przez sen słychać te dzwony... miliony dzwonów.

Trud upaja jak albokol. Tylko nie pozabawia przytomności — przeciwnie nawet!

Liczę godziny marszu. To jedy-

potem modlitwy nauczone przez matkę — — — i lżej zrobiło się na duszy!

Sen wzmocnił ciało i poszedłem dalej — dalej — dalej!...

Pustynia była bieluska jak śnieg. Nagle widzę ją czerwoną. Morze krwi rozlało się przede mną.

Zczerwieniały piaski, zczerwieniał biały od żaru strop. Oczy palą ogniem. Jakaś mgła przesłaniać zaczyna nie tylko dal, ale trudno nawet dojrzeć własne ręce...

Zdobyłem właśnie szczyt małego wzniesienia. Wkońcu ujrzałem czarną linię drzew oazy. Linja ta pęczniała, coraz bliższa była — ale i coraz częściej ta złowieszcza mgła przesłaniała mi świat. Wkońcu dotarłem do pierwszych palm i pół jęczmienia.-

Spostrzeżono mię... Kilku ASKARI (żołnierze kolonialni, Abisyńczycy na służbie włoskiej) wybiegło naprzeciw. Widziałem ich fezy wysokie i kolorowe pasy... a potem już nic... Tylko mgła... i morze krwi... bez żadnego kształtu...

Oślepiłem! — — —

Była Wielka Sobota. W Polsce, w świecie całym rozkołysały się radośnie dzwony na Alleluja. A ja ani dojrzeć nie mogłem uliczki, którą mię doprowadzono do komendanta garnizonu.

Były to najsmutniejsze święta spędzone w Afryce!

Na szczęście w oazie bawił doktor, specjalista chorób ocznych. Przyleciał samolotem wprost ze Rzymu, aby ratować wzrok setek białych żołnierzy, dotkniętych jak i ja paraliżem wzroku. Stałem się jednym z jego pacjentów.

Zastrzyki, bandaże, zupełna ciemnica... a w Polsce biły radośnie dzwony, dzielono się święconym jajkiem. Ja jednak Bogu dziękowałem za to, że zdążyłem na czas do oazy. Byłem bądź co bądź na progu śmierci...



Lasy podrównikowe to jeden gąszcz zwarty, nie do przebycia wprost, w których jedyną niemal drogą, to ścieżki urotowane przez słonie. Z lian rosnących w tych lasach buduje się mosty na rzekach.



Wioska murzynów ze szczepu Logo. Spizarnie na słupach chronią przed mrówkami zapasy żywności jak kukurydzy i inne.

Na lewo: Karawana naszego podróżnika podczas pierwszej przeprawy przez afrykańską dżunglę. Niby płatki śniegu leci szarńca, nieodłączny prawie towarzysz.

którzy po dziś dzień żyją życiem leśnych ludzi i dotąd ani isierki cywilizacji nie wchłonęli w siebie.

Wśród tych małowudów, o kształtach potwornych nieraz, znalazłem zupełnie niespodziewanie człowieka białego. Był to Ojciec Schuhmacher, z zakonu Ojców Białych z Algieru (Górnoślązak). Z ramienia Watykanu studjował on możliwości nawrócenia tych najdzikszych szczepów podrównikowego lasu.

Trzeba jednak było pożegnać miłe towarzystwo, aby na czas osiągnąć stację misyjną BENI, gdzie pozostawiłem swój rower i większą część bagażu.

Rok 1933

Wśród lodów... i w lesie podrównikowym w otoczeniu karłów. — Wymarła stacja misyjna. — Konający, do których dostęp wzbroniony nawet misjonarzom.

W następnym roku ostatni miesiąc przedświąteczny spędziłem w okolicy równika, w Kongo Belgijskim.

Urządziłem sobie poprostu wycieczkę na najwyższy szczyt górski, zwany RUWENZORI (ze szczytem Margarety 5100 mtr nad poziomem morza). Chciałem znowu zobaczyć śnieg i spędzić kilka rozkosznych nocy wśród lodów i śnieżnych zamieci.

A w powrotnej drodze — brnąć przez lasy nieśmiertelników, potem lasy cedrowe — tonąłem w głębokim mchu. Wkońcu na wysokości 2000 mtr osiągnąłem las bambusowy, pełen żmij jadowitych.

Nieco poniżej zaczynał się las inny, las podrównikowy! Pełen był lian (silnych pnących roślin, oplatających drzewa), drzew — paproci i niezliczonej ilości roślin i pędów. Tworzą one jedną zwartą masę, tak gęstą, że zaledwie słonie mogą się przez nią przedrzeć.

Idąc ścieżkami tych olbrzymich zwierząt, natknąłem się na MAMBUTI — to jest karłów,



Byłem zupełnie wyczerpany, gdy nagle przede mną rozciąła się równina rzeki SEMLIKI.

Nigdzie ani żywej duszy. Trawy jeszcze wysokie, wśród których czyha tysiące głodnych wiecznie panter, a czasem samotnie sterczące drzewo.

Przeprawilem się przez rzekę Semliki, a gdy słońce zgasło osiągnąłem mury opuszczonej stacji misyjnej. Właściwie nie opuszczonej — bo cała załoga misji pozostała jakoby na straży dawnej świątyni.

Tylko pozostała... w grobach. Sterczą dziś nad nimi drewniane krzyże, ledwo widoczne z ponad złotych traw. Okolicę wyludniła epidemia krwawej dysenterji (biegunki) i grasująca tu od lat śpiączka. Dziś poza mogiłami ani śladu, że kiedyś wrzało tu życie.

Wśród ruin zabudowań misyjnych i grobów misjonarzy wypadło spędzić noc. Obwąrowałem się jak mogłem. Odnalazłem wodę — a po wieczny rozpalony nocne ogniska — usnąłem. Spałem tak, jak śpi się tylko w domu, lub w puszczy, po długich tygodniach trudnego marszu.

Nazajutrz dotarłem do misji św. Gustawa.

Był właśnie Wielki Czwartek.

Stacja gotowała się do uroczystych świąt. W chwilach wolnych towarzyszyłem misjonarzom w podróży po okolicznych wioskach, gdzie sprowadzali ludzi na pół zgniłych trądem — i innych nieszczęśliwców, którzy już sił nie mieli przywlec się do kościółka.

A tuż niedaleko od stacji misyjnej rozłożyły się baraki szpitalne konających na krwawą dysenterję. Tu już spowiadać było za późno — zresztą to byli poganie, a wstęp do tego obozu był wzbroniony nawet dla misjonarzy.

Codziennie masowe pogrzeby, widok trędowatych, trupia woń ich gnijących ciał, a pozatem te tysiące innych nieszczęśliwców, chorych na straszne choroby tych stron.

Wkońcu ozwały się małe dzwonki i radosnym echem poszły przez pustą równinę — Alleluja!...

Dźwięki tych dzwonek szły hen aż po ściany gór Ruwenzori, zwanych także „górami księżycowymi”, szły... i wracały echem.

Była to moja druga Wielkanoc w Afryce, nie wesola, ale i nie smutna. Po nabożeństwach gawędziło się z brodatymi Ojcami — a potem wieczorem siedzieliśmy przed chatą, wpatrzeni we wysrebrzone światłem księżyca szczyty wiecznych lodowców, które ostro odrzynały się od granatu stropu, nad którym wisiał przepiękny migotliwy

krzyż, utkany z gwiazd. To „Krzyż Południa”.

Rok 1934

Anglicy o garbatych nosach rozpijają i wykupują Afrykę. — Święta, w które nie słyszałem radosnego „Alleluja”.

I znowu zbliżały się święta Wielkanocy, trzecie w Afryce.

Koła roweru skakały po niemożliwie wyboistej drodze Dalekiego Południa. Poza mną leżały bogate pola diamentowe KIM-BERLEY'u, a gdzieś — na południowym horyzoncie czerniało



Dwa żywioły: woda i pustynia. Rozżarzone w słońcu, spragnione piaski pustyni wchłaniają w siebie łapczywie wodę. Tak może wygląda nad brzegami Jeziora Czad, gdzie p. Nowak obecnie przebywa.

pasmo gór ZWARTBERG'u. Poza niem huczą oceany: Atlantycki i Indyjski.

Jedna z najpiękniejszych ale i najtrudniejszych dróg Afryki leżała przede mną. Droga ta, wykuta w skałach, jest niemożliwie trudną do przebycia nawet dla aut. To też wspinałem się ku szczytom prawie wyłącznie pieszo.

Codziennie mijam jedną wioskę BOERÓW (czyt. Burów) — białych tubylców Afryki, których dziadowie (holenderscy koloniści), a nawet pradziadowie zrodzili się już pod afrykańskim niebem i wcale nie znają Europy.

Tuż koło wioski leżą pustynne pastwiska, na których pasą się nieprzeliczone stada baranów i bydła rogatego — bogactwa okolicy.

W każdej wiosce sterczy wysoka gotycka wieżyca heretyckiego domu mo-

dlitwy. Boerowie są bowiem kalwinami. Naprzeciw zaś jest sklep z alkoholem, prowadzony przeważnie przez „anglików” o nosach garbatych, którzy tak niedawno dopiero zrzucili ze siebie cuchnący hałas i zgolili pejsy i brodę. Większość tych „anglików” mówi niemożliwie łamaną polszczyzną, a niektórzy z nich mają jeszcze nawet paszporty polskie.

Prawie każdy BOER siedzi w ich kieszeni. Coraz częściej zachodzą wypadki, że semicki przybłąda staje się właścicielem fermy boerskiej i całej trzody, dzięki wypróbowanej „kredzie”, która pisze i pisze...

W tym roku pamiętnym nie słyszałem dzwonów wielkanocnych. Było bardzo smutno... Rolę tułaczka łagodziła jedynie myśl, że jeszcze garść dni, a stanę u celu — na samym czubku Afryki — i rozpocznę powrót.

W dwa dni po Wielkanocy dotarłem dopiero do okolic zamieszkałych przez katolików. Była to siedziba Prefekta Apostolskiego msgr. Koenig'a, gdzie w gościnie spędziłem dni kilka. Misjonarze Afryki darzą mnie zawsze braterskim zaprawdę sercem. Oni jedni rozumieją mnie i pojmują zarazem trud takiej podróży. To też z każdej takiej stacyjki Krzyża św. ruszam pokrzepiony na duchu i ciele...

Rok 1935

W cuchnącej puszczy Moxico. — Idzie piąta Wielkanoc w Afryce. — Francja toruje drogę islamowi. — W ostatnią drogę...

Święta Wielkanocy 1935 roku spędzam w puszczy MOXICO (Mosiko) gdzieś daleko już na północ od Kapsztadu, w powrotnej drodze do kraju.

Płaskie jak stół mokradła — stanowiące granicę dorzeczek rzek Kongo i ZAMBEZI — oschły już w tym czasie.

Święta Wielkanocy w 1935 r. wypadły krótko po rozbiciu się na rzece Kasai w Angoli — gdzie omal nie zatonałem wraz ze swym prymitywnym stateczkiem.

Szedłem pieszo. Trawiła mnie gorączka, dokuczał głód nawet. Zda się w nieskończoność biegł nasyp kolejowy, wzdłuż którego szedłem ku granicy KATANGI w Kongo Belgijskim.

Okolica szczeropogańska, ludożercy nawet, a jedyną oznaką cywilizacji to tor kolejowy, którym raz na tydzień przewala się z hukiem „express”, wiozący pasażerów od oceanu ku kopalniom Katangi lub naodwrot.

I znowu tylko tęsknotą duszy wyczuwałem dźwięki radosne dzwonów, które w świecie całym rozkołysały się na Alleluja... Puszcza Moxico była je-

Idź do mrówki leniwczej i przypatruj się

(Przyp. 6, 6.)

Mrówki są to owady, żyjące w zespołach lub kolonjach, bardzo różnych w liczbie i organizacji swoich mieszkańców. Istnieją małe zespoły mrówek, liczące zaledwie sto osobników, ale istnieją też ogromne kolonie o kilkuset tysięcy mieszkańców, wzorowo zorganizowanych zwłaszcza pod względem podziału pracy.

Wiemy, że w roju pszczoł jedna tylko znajduje się królowa. Inaczej u mrówek. W jednym dużym ich państwie liczba królowych może wynosić kilkanaście, nawet kilkadziesiąt sztuk.

Liczba robotnic — zawsze żeńskiego rodzaju i bezskrzydłych — sięga w takim zespole w setki tysięcy. Męskie zaś osobniki — zawsze skrzydlate jak królowa — już w parę dni po wylęźniu opuszczają kolonję na zawsze, by w regionach powietrznych spełniwszy jedyne swe zadanie zginąć śmiercią bolesną bezpośrednio po swoich zaślubinach.

Robotnice najróżniejsze wykonywują prace. Mniejsze mają obowiązek starania się o żywność dla kolonji, inne uprawia-

ją straźnictwo, broniąc siedziby swej przed natrętami, utrzymują porządek w rozgałęzionych chodnikach i tunelach gniazda lub pielęgnują młode. Większe i mocniejsze spełniają zadania, wymagające siły i odwagi.

Są też robotnice, które odznaczają się potwornymi głowami, większemi od całej reszty ciała, z silnemi, podobnemi do sierpów lub szabel żuchwami. Inne znowu mocno wzdęty posiadają tułów, napełniony miodem. Wisząc u posowy (powąły) podziemnych ganków, stano-



wią niejako słuo zaopatrzone magazyn na czasy niedostatku.

Kształt gniazda różnych gatunków tych owadów świadczy dobitnie o różnorodności ich zwyczajów życiowych. Są gatunki, które zadowolają się prostymi kanałkami i chodniczkami w ziemi lub drzewie, lub wyzyskują już istniejące, naturalne wyżłobienia na swoją siedzibę. Inne znowu zdradzają znakomite uzdolnienie techniczne, wystawiając z najróżniejszych części roślinnych metrowej wysokości kopce, lub z pożytych włókien drewna ogromne budując gniazda, zwieszające się z konarów drzew. Inne wreszcie prowadzą życie koczownicze i nie mają wcale czasu do zajęcia się budową osobnych gniazd. Osiadają raczej dziś tu, jutro gdzieindziej, w miejscach o dogodnych, naturalnych warunkach, w spróchniałych pniach drzew lub w gęstych krzakach, i tu zbijają się w ogromny kłęb. (Rycina 1.) W środku tego zbiorowiska umieszczone są bezpiecznie jajka i poczwarki, otoczone grubym, setki tysięcy ciał mrówczych liczącym wałem.

Mrówki wędrownne, które zamieszkują Amerykę, Indje i przede wszystkim Afrykę, ciężką nieraz są plagą.

„Z trudnością tylko — skarży się jeden z badaczy przyrody — znaleźć można tyle ponurych barw, aby opisać straszne udrczenia, dokuczliwości i niepokoje, jakie nam szkodliwe te stworzenia sprawiały podczas naszych wędrówek leśnych.”

Czasem odbywają się „walne zebrania”, podczas których mrówki z głowami ku sobie zwróconemi zachowują się na pozór biernie, czułkami tylko powoli poruszając. Jaki cel mają takie kongresy, nie zdołano dotychczas stwierdzić. Nieraz „walne zebranie” otacza dokoła pierścien albo wał straźniczek, które mają głowy zwrócone nazewnątrz i pilnują, aby żaden niepowołany natręt nie zakłócał spokoju obrad. Godzinami, nawet dniami całemi mrówki potrafią, wytrwać w tym osobliwym układzie i porządku.

W olbrzymich rojach ciągną przez puszcze i otwarte miejsca i zaczepiają z bezprzykładną pogardą śmierci wszy-

stko, co im się po drodze nawinie. (Patrz rycina 4.) Żaden zwierz nie jest bezpieczny przed ich atakami. Nawet dorosły lampart padł ofiarą ich zaczepności i został przez nie zagryziony i zjedzony. Wynajdują natychmiast najwrażliwsze miejsca na ciele swoich ofiar, wgrzyzając się ze szczególnym upodobaniem w delikatne błonki śluzowe ocz i nosa, wiercą i szarpia żuchwami w zadanych rankach i doprowadzają do szaleństwa napadnięte stworzenia. Do najboleśniejszych i najokrutniejszych należy niewątpliwie śmierć zadana przez mrówki.

Gdy mrówki zaatakują ludzkie osiedla, ofiarą ich zaciętości pada nie tylko drób, ale też konie i muły. Małe dzieci trzeba co rychlej wywozić, aby uchronić je od śmierci w mece.

Należy jednak podkreślić, że mrówki wędrowne znaczne też oddają ludziom usługi.

Gdzie wtargną do mieszkań ludzkich, tam do szczerze wyprzątą wszelkie inne natrętne i dokuczliwe owady, jak pchły, pluskwy, karaluchy i t. d. i t. d., których człowiek nigdy nie potrafił z taką dokładnością wytępić. W ogrodach zaś warzywnych lub kulturach pożytecznych roślin mrówki wędrowne więcej wyplenia szkodników, niż tego dokonacby zdołały wszystkie ptaki, jaszczurki, żaby i pająki razem wzięte.

Wspomnieć warto jeszcze o gatunku mrówek, które nazwać można „parasolnikami”. Kto zagłębi się w dziewiczy las brazylijski, zaraz w pierwszym dniu będzie miał możliwość poznania się z temi owadami. Z grubych pni drzew leśnych spływają nieprzeliczone ich za-

stępy, zdążające krętymi ścieżkami do swego podziemnego gniazda (patrz rycina 3 oraz na rycinie 5 „parasolnik”,



przyczem różne wyrostki czy narośle na głowie i piersiach służą im za podpórki. Nie wiadomo długo, w jakim celu mrówki przenoszą liście do gniazda swego. Stwierdzono wreszcie, że zużytkowują je do urządzenia hodowli czyli kultur grzybków. Większe bowiem robotnice drobno przeżuwają przyniesiony materiał, tworząc z niego rodzaj papki, z której ulepiają podobne do gąbki z licznymi kanałkami „inspekty”. Na przygotowaną w ten sposób glebę zasiewają pewien gatunek grzybków, produkujących ciała bogate w białko, stanowiące ich główne pożywienie.

Mniejsze zaś pracownice ustawicznie pielą i w porządku utrzymują dla ogólnego pożytku założone rozsadniaki, skrzętnie usuwając z nich wszelkie szkodliwe „zielsko” w postaci niepożądanych pasorzyców.

cokolwiek powiększony). Każda z tych mrówek dźwiga dość dużą część liścia, umieszczoną krawędzią na grzbiecie,

Do mrówczych gniazd przybywają też różni goście. Nie wszyscy z nich są mrówkom mili, jak to dokładnie

stwierdził uczony jezuita O. Wasmann — który całe życie strawił nad badaniem życia mrówek. — Inni jednak z największą gotowością i gościnnością bywają przez nie przyjmowani i lepiej nawet traktowani niż własne dzieci. Gośćmi tymi są chrząszczyki, które wydzielają z siebie ciecz eteryczną, wywierającą na mrówki nieprzemyślany wpływ przyciągający. To też z prawdziwą pasją ssają i liżą odurzający



płyn, karmiąc obficie miłych swych gości.

Ale pokarmu tego nieraz widocznie jest za mało. Dostawcy tego słodkiego nektaru, owe chrząszczyki, niepomnąc na gościnne dobrodziejstwo, jakiego doznają u mrówek gospodarzy, napadają na potomstwo mrówek i pożerają je bezlitośnie. „Od takich gości ustrzeż mnie Panie.” Nasze mądre mróweczki zachowują się nawet w chwilach takiego masowego mordowania ich potomstwa zupełnie biernie. Z tej już przyczyny nie można inteligencji mrówek przeceniać. Pozatem kultura czyli sposób życia mrówek nie zna rozwoju czyli ewolucji. Od początku świata aż do dnia dzisiejszego, jak każde inne zwierzę, tak i mrówka na tym samym znajduje się szczeblu rozwoju, tak samo się żywi, w taki sam sposób jak kiedyś przed wiekami buduje swe mieszkania i swe społeczne życie i pozostanie na takim samym stopniu życia aż do końca świata!

W Piśmie św. znajdujemy słynne wezwanie do leniuchów wszystkich czasów: „Leniwce, — mówią Przymowięści 6, 6, — idź do mrówki i przypatruj się!...” I słusznie!

Mrówki można uważać za wzór pilności. Od rana do wieczora są na nogach,



Fot. Donisthorpe

Chrząszczyk i mrówka. Mrówka karmi swą krówkę, małego chrząszczyka

na krótki tylko pozwalając sobie spoczynek. Wszędzie w mrowisku zauważysz żywą krzątanicę — jedne budują chodniki i kanały, inne usuwają zawa-



Fot. Donisthorpe

Chrząszczyk i mrówka. Z prawdziwą pasją ssają i liżą podniecający płyn wydzielany przez milego gościa... (Reszta fot. według Carrera).

dzające grzyzy, jeszcze inne przenoszą poczwarki, w jednym zakątku widać robotnice i karmiące, w innym pielęgnujące i strzegące jedną z królowych. A jednak, mimo tych różnorodnych zajęć, istnieje ład i plan w tej napozór bezładnej krzątanicie wielotysięcznego roju.

I tak tysiące i setki tysięcy mrówek pracują zgodnie i pilnie ku pożytkowi dla dobra całości. — Ten ład, porządek, celowość w państewku mrówek już dawno myślącym ludziom nasunęły przypuszczenie, że wcale a wcale nie mają racji ci, którzyby za wszelką cenę chcieli usunąć Boga, a powstanie świata i porządek na nim istniejący pragnęliby przypisać ślepemu trafowi, głupiemu przypadkowi, lub jakiejś sile, którą zazwyczaj nazywają naturą! Gdzie jest zegar, tam musi być zegarmistrz, gdzie książka, tam musi być ten, który ją napisał i wydrukował; najmniejszy nawet domek musi mieć swego budowniczego!

Któżby zatem chciał twierdzić, iż cały ten cudowny porządek, panujący w całym świecie, mógł powstać bez tego, który jest sprawcą wszystkiego? W tem to zrozumieniu mówi Job do nas: Pytaj się zwierząt, a nauczą cię, i ptactwa niebieskiego, a pokaże ci. Mów do ziemi, a odpowie ci, że wszystko uczyniła ręka Pańska!!

Cukrowy baranek (Dokończenie ze strony 229)

Prawda, obiecałem mu baranka, kupiłem i...

Sięgnąłem do kieszeni palta, zaszeleściła bibułka, był...

Biały pakunczek przewiązany niebieską wstążeczką. Cóż z nim teraz? Pójść i oddać a potem...

Sam nie wiedziałem, co potem. Marzył mi się nawet jakiś tragiczny gest...

Małemu trzeba dotrzymać słowa.

Cóż? Potem rozejdą się nasze drogi na zawsze...

Poszedłem.

Nogi miałem jak z ołowiu i żadna droga nigdy nie była dla mnie tak ciężka, jak te trzy piętra do progu mieszkania.

W ostatniej chwili chciałem zawrócić ale... baranek...

Serce mi waliło, gdy po długim, długim wahanii nacisnąłem dzwonek.

Jeżeli wyjdzie służąca, każe jej pakunczek oddać Dudusiowi...

Jeżeli Ola...

Otworzyła Ola, wyciągnąłem do niej rękę z białym pakiecikiem i jąkałem:

— To dla Dudusia... Kupiłem wczoraj i zapomniałem oddać. Obiecałem, niech dziecko nie cierpi za nas...

A tu nagle Ola objęła mnie za szyję i jej usta przylgnęły do moich ust.

— Ty, ty... głuptasie! Czekamy właśnie na ciebie ze śniadaniem... Ty, najmilszy...

— Olu!

Jak ja ją wtedy całowałem... Boże... Pamiętasz, babciu?

A potem pytam, a skóra na mnie trochę cierpnie:

— Rodzice są?

— Są, przyjechali przed godziną.

— Wiedzą?

— Też! Miałabym co opowiadać...

No i dlatego baranek tak wzrusza babunię... uratował nam nasze szczęście.

— No, bo pomyślecie, dzieci, mogło przecież wszystko być inaczej... i nie zebrałibyśmy się dzisiaj przy tym stole, nie byłaby z dziadkiem przeżyła tylu dobrych, szczęśliwych lat, was pewnoby nie było, a my byłibyśmy samotni, zgorzkniali i obcy...

— Ja byłbym, mamusiu, jako że już wtedy istniałem i że to właściwie był mój baranek. Wogóle ja i baranek uratowaliśmy wasze szczęście rodzinne — śmiał się syn.

— Przedewszystkiem łaska Boża, bo dziadzio opowiedział wam, co robił owej nocy, a ja nie opowiedziałam. Otóż modliłam się, żeby wrócił, żeby nas Bóg nie rozłączał i ta modlitwa mnie uspokoiła, byłam przekonana, że jednak coś się takiego stanie, że wróci, a gdy go zobaczyłam przed sobą, zrozumiałam, że nie trzeba robić kroku wstecz, ale dziesięć kroków naprzód. Kochaliśmy się przecież oboje.

— I kochamy.

Węzłowata ręka dziadzia przesuwając się po drobnej, zawiedłej rączynie babci.

— No więc drogie dzieci, teraz podzielimy się święconem jajkiem, bo już wnuczeta zaglądnęły, a oczy im uciekają do smakołyków, a dziadus tak się rozgadał, żeśmy o śniadaniu zapomnieli. No, więc czegoż wam życzyć, chyba, żeby Bóg strzegł wasze gniazda od rozbicia, jako i nasze ustrzegł niegdyś.

— Ale, że to już i dawniej rozchodzili się ludzie o byle głupstwo — śmiał się zięć. — Myślałem, że to wynalazek naszych czasów. A tu już babcia z dziadkiem... ho! ho!

— Mój drogi, rozchodzili się, ale i schodzili. W każdym małżeństwie są takie chwile, że nerwy nie dopiszą, ale wtedy właśnie trzeba szukać drogi do serca, trzeba darować i kochać, by było dobrze.

A babcia uśmiecha się przez łzy i tuli najmłodsze prawnuczę:

— Bo przecież ludźmi jesteśmy wszyscy i wszyscy mamy swoje małe winy, nad którymi tylko sercem przejść można.

Pachną kocianki, stukają widelce, płynie śmiech dzieci radosny i bez troski, a oczy staruszków spotykają się długim spojrzeniem.

Ich szczęście...

Na pistacjowej łące pasie się cukrowy baranek, z czerwonego tła chorągiewki rozbłyska krzyż. *Marja Czeska-Mączyńska.*



Wojciech Poremba

W czasie wojny światowej służy na pancerniku austriackim. Odznaczony za szczególniejsze bohaterstwo złotym medalem, wraca po r. 1918 do wolnej ojczyzny na małe gospodarstwo ojca. Matka nie żyje. Rodzeństwa nigdy nie było. Wynajduje sobie pracę w pobliskim mieście. Dzięki wiadomościom nabytym na pancerniku awansuje wkrótce w pewnym warsztacie ślusarskim na pierwszego pomocnika.

Tysiące złotych

Ale niedługo tego szczęścia. Na jego technicznych talentach poznaje się wkrótce niestety banda opryszków. Zapomocą ladacznicy wciągają go podstępnie do swego grona i nakłaniają obietnicą ogromnych łupów do udziału w napadzie na bankowe przedsiębiorstwo. Łup rzeczywiście jest bardzo wielki. Na Wojciecha przypada kilkadziesiąt tysięcy. Jest więc bogaty i przyszłość zdaje się mieć zapewnioną.

Ale były to tysiące nabyte niestety nieuczciwie. To też nic dziwnego, co potem następuje. Po kilku już tygodniach pewnego wieczora, w pewnym lokalu nocnym, nakładają Wojciechowi kajdanki. Po kilku dalszych tygodniach słyszy straszny wyrok: „Pięć lat ciężkiego więzienia“!

Od tego czasu mija lat siedem. Wojciech Poremba już odpokutował chwilowe zejście z drogi bożego przykazania.

Znowu przebywa u ojca na wsi. Znowu bez pracy i bez wszelkiej zasiłkowej pomocy. Ale serce jego przepelnia żelazne postanowienie, że już nigdy nie wróci na drogę występku.

Droga powrotna

Za dumny, by żebrać, woli żyć o głodzie i wodzie, dopóki nie znajdzie pracy! Lecz dla człowieka, który raz był w więzieniu, który tak jak Wojciech całe pięć lat z swego życiorysu stale musi wykreślać, nie tak łatwy powrót.

Szuka to tu, to tam, wszędzie daremno!

Wreszcie puszcza się w daleką wędrówkę. Idzie pieszo przez Kra-

ków, Katowice, Poznań, Bydgoszcz, Gdynię — napróżno; niema dla niego zajęcia. Tuła się potem przez Warszawę, Lublin, Lwów; wraca wreszcie do domu obdarty, wyniszczony, o licach zapadłych, wcale niepodobny do owego austriackiego marynarza z załogi pancernika. Ale w piersi wciąż ta sama pieśń, wciąż bezustannie powtarzane to jedno postanowienie: Będę się trzymał! Raczej głód cierpieć, z głodu pod płótnem zdychać, aniżeli raz jeszcze imię swe zhańbić!

Patronat więzienny

Chwyta się ostatniej deski ratunku. Dyrekcja więzienia otrzymuje list, w którym Wojciech Poremba gorzko się skarży na ciężki los, i na niemożliwość osiągnięcia pracy. List ten idzie pod obrady najbliższego posiedzenia Więziennego Patronatu. Trzeba ratować Wojciecha, ratować za każdą cenę. Nie dozwolili mu upaść ponownie. Po długich staraniach Patronatu otrzymuje pracę na pewnym folwarku. Przez cały rok o Wojciechu nic nie słychać. Pewnego poranka zjawia się w kancelarii tak przygnębiony i zbity, że nawet znajomi go nie mogą poznać.



Ciężka droga

U góry: Nietylko źli ludzie...

Pewien robotnik na folwarku

„Jestem bez pracy — krztusi, zalewając się łzami! Cały rok byłem uczciwy, pilny, sumienny, uczynny. Żadna robota nie była za trudna, żadna za brudna. Cóż ja mogę — znalazł się pewien robotnik na folwarku, który skądś wiedział, że byłem przez 5 lat u was. To wystarczyło. Wysłali delegację i oświadczyli, żeby „nie wyrządzać im tej krzywdy i nie zmuszać do tego, by musieli pracować wspólnie z złodziejem, który 5 lat przesiedział w więzieniu!“ Jestem jak zwierzę ścigane! Nigdzie nie jestem pewien, czy kto mnie nie pozna, nigdzie nie mam postoj...

Najgorszy szkodnik

Iluż takich biedaków tułać się musi dzisiaj po Polsce! Gdziekolwiek ukaże się taki biedny Wojciech Poremba, tam zjawia się zaraz ów zły duch, anioł upadły, owa hjena w ludzkiej postaci, ów „pewien robotnik z folwarku“, co to wchodzi do każdego cudzego domu, przetrząsać musi wszystko, co to węszy za każdym nieszczęśliwym krokiem, co to zamiast zakrywać, tylko rozgrzebuje każdy brud i rozrzuca go potem po całym świecie! Skorpion ma swe jadowite żądło, a ludzie źli swój złośliwy język, którym mordują i zabijają bliźniego! Mordercy żałującemu podaj rękę, ale takiego wyrzuć czempredzej z domu!

A oto inna scena:

— Miałbym prośbę, małą prośbę do księdza kapelana!

— Ależ, chętnie, o ile tylko w mojej będzie mocy! Cóż mogę uczynić dla pana?

— Chciałbym, gdyby to było możliwe — gdyby to uchodziło — gdyby mnie tak przyjęto — chciałbym te trzy lata, które mi kiedyś z kary więziennej darowano, jeszcze odsiedzieć!

— Pewnieś zwarzował, człowieku!

— Księżu, 2 lata starałem się, mozoliłem, chodziłem od drzwi do drzwi, od domu do domu, modliłem się, błagałem na klęczkach o pracę. Daremno! Tak dalej już być nie może. Gdy zna-

lażem robotę, zawsze wkrótce jakies szataństwo wywlekle najaw, że już byłem karany! I wszędzie wkrótce potem pod jakimś blahym pozorem, często nawet bez powodu, pozbawiano mnie pracy!...

Katolik a więzienie

Szczęśliwy człowiek, który nigdy nie doznał upadku, który nie zajął nigdy za mury więzienne! Nie przypuszczasz nawet, co to znaczy raz upaść i znowu się dźwigać! Jak ciężko zdobyć miejsce, któreś jednym upadkiem stracił! Jak trudno z grzechu i więzienia znaleźć znowu drogę do światła.

Za kratami nietylko zli znajdują się ludzie! Iluż wśród nich pokutuje za winy cudze, iluż jest ofiarą złego, wypaczonego wychowania! Iluż popełniło tylko wskutek nędzy najskrajniejszej ów czyn, który aczkolwiek w oczach świata zasługuje na karę, jednak w oczach Boga Wszystkowiedzącego

ku wyrzutom społeczeństwa, młodocianym przestępcom! W każde katolickie dziecko wpajamy już na pierwszych stronach katechizmu to wzniosłe przekonanie, że jednym z najpiękniejszych, najszlachetniejszych i najwięcej udoskonalających uczynków jest

ku wyrzutom społeczeństwa, młodocianym przestępcom!

Może w sakramencie pokuty w doskonalszy od nas sposób stało się dzieckiem Boga, wolnym człowiekiem w Chrystusie, bratem Świętych Pańskich i dziedzicem Wiecznego Zbawienia! Nie potępiamy! Chrześcijaństwo bez miłości jest kłamstwem, pustym, próżnym frazesem.

Jakże piękną i wymowną pod tym względem jest nasza religia. Nasz Zbawiciel dozwala się policzyć między zbrodniarzy. Wiżąc na krzyżu li-

tuje się nad łotrem! Najwięksi święci od czego rozpoczynają apostołowanie? Św. Paweł bierze w opiekę zbiega Onezyma i zwie go w liście do Filemona synem i towarzyszem najmilszym. Św. Wincenty na ochotnika zgłasza się między galerniki. Św. Kamil dzieli swój czas między więzieniem a szpitalem. Św. Bosko szczególniejszą miłością pała

właśnie to, co religia nazywa „pocieszeniem“ więźniów. Nie karać dla kary, ale karać dla poprawy. Skoro czyn jest odpokutowany i skoro więzień szczerze się nawraca, zdejmujemy z więźnia piętno hańby i zwracamy go społeczeństwu. Wtedy Wojciechów Porembów nie będzie.

Apel do duszy!

Dlatego wspierajmy czynnie owe naprawdę chrześcijańskie stowarzyszenia, które jako patronaty istnieją przy każdym większym więzieniu i opiekują się nieszczęsną dolą więźnia i jego rodziny. Dużo uczyni, kto z pewną miesięczną składką zapisze się na członka patronatu! Lecz i w inny sposób można wspierać patronaty. Niech nie będzie na obszarze Polski więzienia polskiego, w którymby więzień katolik był pozbawiony katolickiej książki i katolickiego piśma. Bo pobyt w więzieniu to najodpowiedniejszy czas na urabianie duszy. Nasza redakcja dużo czyni,

bo posyła do więzień, dzięki wsparciu życzliwych przyjaciół mnóstwo gratisowych egzemplarzy „Przewodnika“. Ale to mało jeszcze, bardzo mało. Wcale nie wystarcza, by „Przewodnik“ dotarł do każdej celi. Może więc przyłączysz się do tych przyjaciół, może nadeszlesz nam na ten cel kilka groszy lub kilka złotych! Bądź przekonany, że posyłać za nie będziemy sumiennie po bardzo niższej cenie „Przewodniki“ do tych zakładów, które ty nam wskażesz, drogi przyjacielu!

Kończę słowami świętego Pawła, pisanymi w sprawie więźnia Onezyma:

„To wszystko pisałem ci, ufając, iż mnie usłuchasz! Ale jestem przekonany, drogi Filemonie, że ty uczynisz więcej, że uczynisz nad to, co mówię i co zalecam!“

H.



W więzieniu poznańskim odbyły się niedawno trzydniowe rekolekcje dla więźniów karnych, zakończone uroczystą Komunią św. i obchodem papieskim. Uroczystość zaszczylił swą obecnością J. Eks. ks. biskup Dymek. W pięknej kaplicy więziennej, przystąpiło do Stołu Pańskiego 186 więźniów, a Sakrament bierzmowania z rąk biskupich odebrało 59 więźniów. Na zakończenie przemówił do więźniów od ołtarza w serdecznych słowach J. Eks. Ks. Biskup. Więźniowie byli szczerze wzruszeni i w niejednych oczach widać było łzy.

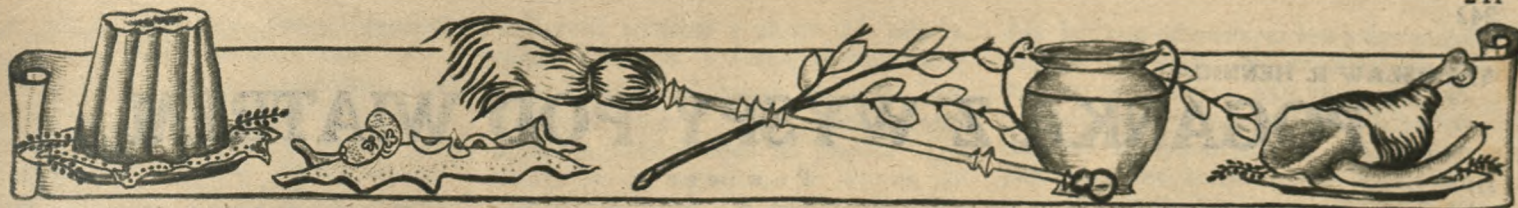


Po południu, również w obecności J. Eks. ks. biskupa Dymka, odbyła się w więzieniu uroczysta akademja papieska, przed którą dokonano wspólnej fotografii. W pierwszym rzędzie od lewej siedzą: 1) dr. Raczyński, 2) dr. Eimer, prezes Patronatu, 3) ks. radca Putz, 4) p. Steiman, prokurator sądu apelacyjnego, 5) J. Eks. ks. biskup Dymek, 6) dr. Lipsz., prokurator sądu okręgowego, 7) Jaszczewski, wiceprokurator sądu apelacyjnego, 8) ks. Henschke, 9) Naczelnik więzienia, Maciejewski. W drugim rzędzie stoja od lewej: 1) przodownik Wojtecki, 2) aspirant Łakomiak, 3) kapelan więzienny ks. Zbigniew Spachacz, 4) podkomisarz Fietkiewicz, 5) aspirant Juszczenko, 6) mgr. Paternowski, nauczyciel szkoły więziennej. Adres Patronatu nad więźniami: Poznań, Al. Marcinkowskiego 32 — Gmach Sądu Okręgowego.

Objaśnienie winiety na str. 2 i 3: U góry jeden ze znanych obrazów przedstawia nam Zmartwychwstanie tak, jak ono nie dokonało się w rzeczywistości. Stróż czuwający przy grobie ujrzeli tylko anioła, nie zaś Jezusa Chrystusa zmartwychwstającego. Obrazek ma zatem charakter symboliczny jak i dwa medaljony przedstawiające 2 krańcowe znamiona Chrystusowe „łagodność jaźnienia i siłę lwa“. Obok zaraz drugi medaljon przedstawia piekącą się rybę — wyobrażenie Chrystusa cierpiącego i ofiarującego się za nasze grzechy, by później stać się dla nas grzeszników w Eucharystji jak ryba dla człowieka pokarmem! Piscis assus (ryba pieczona), — Christus pasus (cierpiący Chrystus) — to ulubione słowa św. Augustyna. Obok plaster miodu i ryba, którą Pan Jezus spożył z uczniami, by ich przekonać, że nie jest bezcielesnym duchem. W rogu na prawo dwóch wędrowców, wylekłych

wydarzeniami wielkopiątkowymi zdają w poświęceniu w południe pierwszego dnia wielkanocnego do miasteczka Emaus. U góry drugiej strony zmysłowanie wstępu do niedzielnej mszy św.: „Wprowadził was do ziemi opływającej mlekiem (garnek) i miodem (tul)“; w środku widzimy klucze Piotrowe, bo światłość Boża — duchowe mleko i miód karmiące duszę katolika — splywa do serca naszego tylko za pośrednictwem Kościoła świętego. Gdzie bowiem Piotr, tam Kościół, a gdzie Kościół, tam łaska Boża. Kościół św. jest zatem dla nas katolików ziemią opływającą mlekiem i miodem łaski Bożej. Kto korzysta ze środków zalecanych przez Kościół, a więc z sakramentów, ze mszy św., z kazania, temu otwierają się coraz bardziej oczy, tak że coraz (jak owi dwaj uczniowie!) lepiej poznaje P. Jezusa (2 małe medaljony). W rogu z prawej „Święcone polskie“ malarza Piwarskiego.

Na dole jeden z kapłanów żydowskich z dachu świątyni jerozolimskiej przypomina ogromnymi ogniami i odgłosem wielkich srebrnych trąb mieszkańcom Jerozolimy, że czas rozpocząć już przygotowania wielkanocne. Na naszym obrazku pełnia księżycowa, bo my chrześcijanie obchodzimy wielkanocną uroczystość w pierwszą niedzielę po pełni wiosennej. Dwa obrazki na dole: na pierwszym znany prorok Jonasz; na drugim olbrzym Samson, wyrwyjący bramy miasta Gazy aby się w ten sposób wyswobodzić. Obaj są symbolami Zmartwychwstającego. Radość Marii jest naszą radością. Z tego też powodu Kościół odmawia zamiast Anioła Pańskiego przez cały czas wielkanocny piękny hymn Regina Coeli. Wreszcie obrazek z 10 Apostołami (bez Tomasza). A teraz po przeczytaniu objaśnienia spojrzaj jeszcze raz na obrazki i przynajmniej, że te niepozorne obrazki dużo zawierają treści katechizmowej.



Rola domu rodzicielskiego w przygotowaniu dziecka do pierwszej Komunii św.*)

Na domu rodzinnym jednego z pedagogów szwajcarskich umieszczono tablicę i złotymi literami wyryto napis: „W domu musi się zacząć, co ma za jaśnieć i plon wydać w ojczyźnie”. Zdanie to wielkiej wagi, zwłaszcza gdy chodzi o przygotowanie dzieci do pierwszej Komunii świętej. Nie w szkole, nie w kościele nawet, ale w domu zacząć się musi ta siejba i to szczepienie cnót w duszy dziecka, a dokonać go winni rodzice. Wyznaczając kapłanowi przygotowanie bliższe, rodzicom sam Bóg przygotowanie dalsze dziecka polecił i oni z kapłańskim namaszczeniem tego świętego obowiązku dopełnić powinni.

Do sławnej Angielki Katarzyny Booth (czytaj: Bus), matki ośmiorga dzieci, odezwała się raz pewnego jej przyjaciółka:

— Dziwi mnie, żeś wychowała tyle dzieci i że ci żadnego Pan Bóg nie zabrał.

Na to matka:

— On nie potrzebował mi żadnego dziecka zabierać, bo ja mu je wszystkie sama oddałam.

Oto stosunek prawy matki chrześcijańskiej do dzieck. Wszystko co zwierzęce, przyrodzone, ziemskie i samolubne, wypaliło się, pozostało tylko poczucie godności macierzyńskiej, pozostał urzędnik Boży, który przez wychowanie dzieci królestwo niebieskie sobie występuje.

Innej matce, wdowie, umarł dziesięcioletni jedynak. Oles było mu na imię. Matka nieutulona w żalu modliła się często i to przynosiło jej niejaką ulgę. Pewnego razu ukazał jej się we śnie najukochańszy synek. Wyciągnęła do niego ramiona strapiona matka, chcąc go uściskać, i zawołała:

— Oles!

A on jej na to poważnie:

— Nie Oles, ale Aleksander — i zniknął.

Dał on matce naukę, że już podrośł, zmężniał, uduchowiał się, a ona stanęła w miejscu od jego śmierci i żywi ciągle zbyt ziemskie uczucia do rozpieszczonego jedynaka Olesia.

*) Urywek z przemówień w parafii św. Marcina i św. Wojciecha w Poznaniu do rodziców, których dzieci przygotowują się do pierwszej Komunii św.

Ten proces uduchowienia swego stosunku do dziecka przeżywają rodzice szczególnie w okresie przygotowania do pierwszej Komunii św. Zobaczmy to na przykładzie: jak matka prowadziła Marcinka do Pana Jezusa.

W izbie pod obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej był stolik, na którym leżała historia święta w czerwonej oprawie ze złotymi literami. Marcinek często dopytywał się, co to za książka, bo mu jej jeszcze ruszać nie było wolno.

— Gdy będziesz grzeczny, to tę książkę dostaniesz — mawiała matka.

Tymczasem raz po raz przed wieczorem Marcinek siadał u stóp matki, a ona opowiadała mu o Panu Jezusie z tej książki.

Po wieczery cały dom gromadził się przed obrazem na pacierz. Ta wspólna modlitwa sprawiała, że Marcinek czuł się przez cały dzień tak pobożnie usposobiony, jak na lekcji w kościele z ks. proboszczem.

Przed zaśnięciem matka klękała przy łóżku z Marcinkiem i robiła z nim rachunek sumienia. Wiedziała dobrze, że z sercem dziecka trzeba pomaleńku i że je tylko bardzo delikatnym kluczem otwierać można. Wystrzegając się gderania, zrzędzenia i nękania. Bardzo o to dbała, aby synek jej lekcijkami nigdy się nie znużył i nie znudził.

Przez cały czas przysposobienia do Komunii św. była szczególnie czuła, tkliwa i wylana dla swego Marcinka. W rachunku sumienia zwracała mu uwagę na uchybienia przez dzień cały popełnione. Poblazliwą była dla zwykłych dziecięcych słabości, które mijają z wiekiem, ale surowiej zwalczała wykroczenia, które w dorosłym Marcinie mogłyby się zamienić w ciężkie przewiny. Po rachunku sumienia wzbudzała razem z Marcinkiem serdeczny żal za grzechy, przepraszając Pana Jezusa. Marcinek widząc wzruszenie matki, sam się też wzruszył, a żal jego im bliżej pierwszej spowiedzi i Komunii św. tem stawał się coraz serdeczniejszy.

Rodzice często popełniają ten błąd, że dziecku każą do pacierza klękać, a sami, wykonując inną robotę, podpowiadają mu słowa modlitwy obojętnie. Trzeba koniecznie samemu się modlić, aby dziecko nauczyć nabożnego odma-

wiania pacierza. Zamiast gadać dziecku jak się należy modlić, módl się razem z nim jak należy.

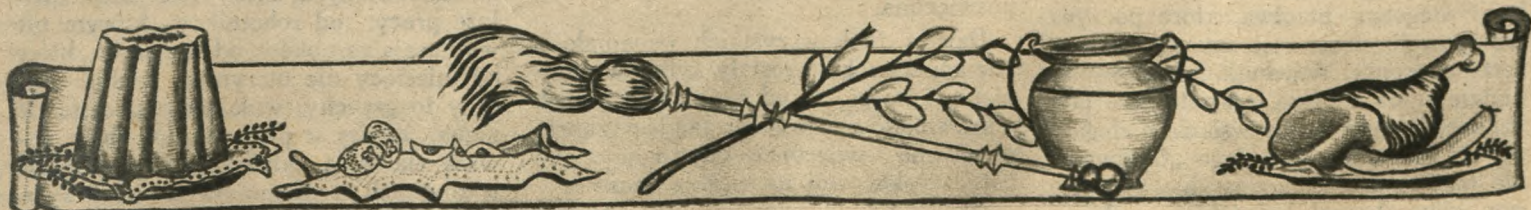
Matka gorliwie zabiegała, aby Marcinek zawsze był pod opieką jej lub starszych zaufanych osób. Dobierała mu towarzystwo z chłopców, którzy się też gotowali do pierwszej Komunii św. Wydała służbę jak najprędzej, skoro tylko zauważyła, że nie jest zupełnie czystych obyczajów.

Tak Marcinek uczył się rozróżniać złe od dobrego, zaczęło się w jego sercu życie nadprzyrodzone. Jak dobry ogrodnik tępi chwasty a pielęgnuje pożyteczne rośliny, tak on wypleniał z duszy zarodki złego a rósł w cnoty i usposabiał się na przyjęcie Pana Jezusa.

Ale te wszystkie zabiegi nie wystarczały matce. Ona nie tylko Marcinkowi mówiła o Panu Jezusie, ale i Panu Jezusowi mówiła o Marcinku, czyli modliła się za swego syna. Często chodziła do spowiedzi i komunikowała, aby Bóg otwierał serce jej syna na wpływy swej łaski i zachował je niewinnem aż do śmierci. Aby zaszczyć w duszy Marcinka prawdziwą pobożność, robiła go uczestnikiem swych miłosiernych uczynków. Ile razy mijala na ulicy ubożego, dawała Marcinkowi grosz, aby go wręczył nieszczęśliwemu. Stare ubranka, z których Marcinek albo powyrastał albo które zużył, cerowała, czyściła i nosiła z Marcinkiem jeszcze uboższym dzieciom. Wzięła sobie za zasadę, że nigdy nie będzie narzekać na swoją mierność, że nigdy nie powie: niech bogatsi biedę wspierają, ale często miała na myśli tyłu a tyłu, którzy jednej złotówki, ani nawet pięciu groszy na dzień nie posiadając, skazani są na wsparcie serc litościwych.

Te jej opowiadania o Panu Jezusie, te wspólne całego domu modlitwy, te rachunki sumienia co wieczór, to dobrane towarzystwo, w którym jej synek ustawicznie się obracał, wreszcie te dobre uczynki sprawiły, że Marcinek był do pierwszej Komunii św. doskonale przygotowany. Duszę miał czułą, serce niewinne, litościwe, zdolne do poświęceń, a rozteśczone na przyjęcie Pana swego, który niebawem miał pod postacią chleba z nim się połączyć.

Ludwik Posadzy.



POGANKA Z WYSPY POD WIATREM

11)

Powieść

— Moje pantofle, gdzie są moje nocne pantofle?

Nie czekając końca awantury, Harold i Al zwiali w stronę miasta. Miljoner ustawicznie obmacywał poparzony nos, gdy nagle Al chwycił go za rękę.

— Panie, ta gadzina Chińczyk szuka nas pewnie po mieście!

— Tak? To niedobrze. Mój samochód jest znany w całym mieście i prędzej czy później łajdak dowie się, gdzie mieszkam. Trzeba uprzedzić Li Leę, żeby się nie pokazywała w oknach. Zaraz do niej zatelefonuję.

I zaniepokojony Harold skręcił do małego baru, gdzie przy drzwiach stała budka telefoniczna. Wszedł do niej, a za nim wcisnął się olbrzymi Al.

A Li Lea właśnie sprzątała w gabinecie, śpiewając wesoło, gdy nagle zadzwonił dziwny przyrząd, stojący w czarnej skrzynce na biurku. Zdziwiona tancerka ujęła hałasujący przedmiot i zaczęła z ciekawością oglądać. Nagle posłyszała jakieś szmery i głosy, dolatujące z trąbki aparatu. Zaciekawiona przysunęła trąbkę do uszka i nadsluchiwała z bijącym serduszkami.

— Hallo, hallo! Johnson, Li Lea, hallo!

— Oj, coś syczy w tej trąbce! — przestraszyła się tancerka. — Coś mówi i gada, a Li Lea boi okropnie!

— Hallo, hallo, Li Lea, to ja Harold! — wrzeszczał przez tubę eks-miljoner.

— Śliczny pan? — otworzyła szeroko oczy Li Lea.

— Tak, to ja i Al jest tu także! Al przemów co do niej.

— Panienko, to ja, Alejandro!

— Małpeczka? Śmieszne, jak wy się zrobili takie malutkie, żeby weszli w tą trąbkę?

— Ależ nie, my jesteśmy tutaj, na mieście, tylko nasz głos idzie po dru-

tach do Li Lei. Mamy coś ważnego powiedzieć Li Lei, tylko niech się Li Lea nie przestraszy.

— Oj, Li Lea już się przestraszyła!

— Jeszcze niema czego. Chińczyk chodzi po mieście i szuka nas. Niech Li Lea powie Johnsonowi, żeby zamknął drzwi na klucz i nikogo nie wpuszczał.

— Chińczyk? Shing Tso? Oj, Li Lea boi! Niech śliczny pan i małpeczka zaraz przychodzą do domu, bo Li Lea umrze ze strachu! — pisnęła trwożnie tancerka, oglądając się na wszystkie strony.

— Dobrze, Al zaraz wraca do domu, a ja jeszcze zostanę, bo mam ważne sprawy na mieście. A teraz niech Li Lea położy tubę na widelkach. Dowidzenia.

Li Lea odłożyła gadającą trąbkę i skoczyła do kuchni, aby opowiedzieć Johnsonowi straszną nowinę.

Harold, powiesiwszy słuchawkę, rzekł do Ala, skurczonego w ciasnej budce:

— Biegnijcie szybko do małej, a ja poszukam jeszcze jakiej pracy.

Brodacz obrócił się gwałtownie i nagle, z głośnym trzaskiem, budka telefoniczna zawałiła się, grzebiąc pod szczątkami obydwóch. Harold pierwszy wygramolił się z pod desek, a za nim, stękając, wyłaził oszołomiony Al.

Rozwścieczony właściciel baru dopadł Harolda i zaczął wrzeszczeć:

— Coście mi zrobili? Jakiem prawem dwóch drabów pcha mi się do budki? Cóż wy sobie myślicie, łobuzy, że to menażerka? Hej, Tom, zabierz tych hultajów do paki!

Z bocznego pokoju wyszedł masywny policjant i z groźną miną zwrócił się do winowajców:

— No, chodźcie do paki, nicponie!

Nagle Al rzucił się jak burza na policjanta.

— Tatku, mój tatku! Nareszcie cię znalazłem! Szukam cię tyle, tyle lat! — ryknął, chwyciwszy oszołomionego policjanta w potężne ramiona.

— Warjat! — zagadał przerażony właściciel baru, chowając się za kontuar.

Policjant ani zipnął, zduszony potwornymi ramionami olbrzyma, który pełen szczęścia nosił go po kawiarni.

— Ojczy, mój ojczy, jakże stęskniłem się do ciebie! — ryczał, tuląc oniemiałego policjanta w objęciach i tkliwie go całując. — Gdy ujrzałem twoje złote zęby na przodzie, serce mi drgnęło i wyrwało się do ciebie!

Zafrasowany Harold patrzył ze strachem na tę scenę, zapytując się w duchu, czy Al rzeczywiście nie jest warjatem.

Policjant z wolna zaczął przychodzić do przytomności.

— Czło... człowieku! Jeżeli mnie w tej chwili nie puścisz, zamknę cię do więzienia za obrazę policjanta na służbie! — wyjąkał, szarpiąc się bezskutecznie.

— Ty jesteś moim ojcem, czy tego nie rozumiesz? Pamiętasz? W Meksyku opuściłeś moją matkę i wyjechałeś do Stanów.

— Puść mnie, niegodziwczel! Nie jestem twoim ojcem, nigdy nie byłem w Meksyku! — szarpał się policjant. — Ja twoim ojcem? Puść mnie, gałganie, bo jeżeli mnie zobaczy komisarz, będę na zawsze ośmieszony!

— Nie byłeś nigdy w Meksyku? — powtórzył rozczarowany Al, upuszczając nagle nieszczęsnego policjanta na ziemię. — O Boże, czyż nigdy nie odnajdę swego ojca?

Policjant podniósł się z ziemi i rozpoczął poszukiwania swojej czapki, a gdy ją odnalazł pod stolikiem, nacis-

Życzenia wielkanocne

Jest taki okres w życiu, gdy człowiek poczyna coraz częściej i coraz miłej wspominać dawne czasy: jak to ongi pięknie było na świecie i wesoło i bogato, a teraz bieda i kłopoty i smutki i tyle. Mówią mądrzy ludzie, że takie narzekanie — to dowód starości. Kto młody jest, ten nie ogląda się wstecz, lecz patrzy naprzód, pełen otuchy i nadziei.

No, nie jestem przecież znowu taki wiekowy. Owszem, raduję się jeszcze ciepłym słońcem wiosennym i świeżą zielenią w ogrodach i na polach i miłym świegotem ptactwa, które poczyna już powoli stroić instrumenty na koncerty wiosenne. A jednak, jednak wspominać sobie z lekką tęsknotą owe lata dziecięce, kiedy to po wsiach rozlegały się krzyki od staropolskiego „dyngusu”, nie tego, gdzie to modny kawaler sączy kilka kropel kolońskiej wody na szatę modnej panny, lecz tego, kiedy

Wojtki i Bartki lały całe wiadra zimnej wody na głowy Kasi lub Marysi.

Wspominam sobie też owe „przedwojenne” święconki, kiedy miłym zapachem nęciła ku sobie krucha cielęcina i skręcona kielbasa i pulchne jajka i różowa szynka, tem milsza, że wszystkie żydy trzymają się od niej zdala, najpierw dlatego, że jest od świni, potwóre że jest od zadu, a ubój rytualny uznaje tylko przody jako trefne i kosszerne (ile to człowiek może się nauczyć, gdy studjuje polską politykę sejmową); a po trzecie dlatego, że jest poświęcona.

Dziś z tych wszystkich wspaniałości wielkanocnych pozostały tylko wspomnienia i kości. A od znajomych swoich i krewniaków wiejskich zamiast zaproszenia na święconkę otrzymuję tylko listy ze skargami na ciężkie czasy.

Oto jeden z nich tak się skarży: „Mamy tu jeszcze nieco ziemniaków,

by napełnić żołądek, i nieco kiszzonej kapusty i nieco mięsiwa, ale gotówki to nie ujrzysz u nas na lekarstwo. Z czego człowiek ma zapłacić podatki, za co kupić przyodziewek albo garść soli albo nafty albo zeszyt dla dziecka — na to Salomon nie poradzi. A choć się i czasem zarobi kilka groszy, pracując dla dworu, to i tak nic nie pomoże, bo mu pieniędzy nie wypłacą. Jedno błędne koło”.

I takich skarg mają w redakcji pełno: od emerytów, którym obcięli emeryturę; od bezrobotnych, którzy nie mogą znaleźć pracy; od robotników, którym nie wypłacają zarobków; od służących, które od miesięcy nie otrzymują zasług. Byłyby to grzechy, wołające o pomstę do nieba, gdyby u pracodawców była zawsze zła wola, gdyby sami pławili się w zbytkach, a robotników swoich krzywdzili. Ale często jest tak, że pracodawcy, a nawet urzędy państwowe mają

nał ją urzędowo na głowę i groźnym tonem przemówił do olbrzyma:

— Łotrze, drabie przeklęty! Czy wiesz, naco się osmieliłeś? Znieważyles policjanta podczas pełnienia obowiązków służbowych! Jesteś aresztowany i przed sędzią odpowiesz za swoje zbrodnie!

— Ależ ja nie jestem winien! Zobaczyłem u pana dwa złote zęby na prozdzie i byłem pewny, że jest pan moim ojcem. Po tych zębach mam rozpoznać mojego ojca, który mnie opuścił trzydzieści lat temu.

— Tylko zdaleka! — zastrzegł policjant, odsuwając się przezornie od Ala. — Nie jestem twoim ojcem, a zęby wstawiłem sobie dopiero wczoraj. Mogę przedstawić rachunek zakładu dentystycznego.

— To omyłka, bardzo pana przepraszam — bąkał zawstydzony Al.

— Zresztą ojciec, czy nie ojciec, ale to nie powód, żeby nosić na rękach poważnego sierżanta policji jak małe dziecko w pieluchach — gniewał się policjant. — Nawet, gdybym był waszym dziadkiem, powinniście znać szacunek!

Tu winieszal się Harold i, wcinawszy pięć dolarów w rękę sierżanta policji, załagodził jakoś sprawę.

Wyszedłszy na ulicę, Harold rzekł do zamysłonego Ala.

— Co też wam strzeliło do tego komałego łba rzucać się policjantowi na szyję? Czy rzeczywiście myśleliście, że to wasz ojciec, czy też był to wybieg z waszej strony?

— Myślałem, że to rzeczywiście mój ojciec, młody panie.

— A kim był wasz stary?

— Ba, żebym to ja wiedział. Indianka Matanara, po śmierci mojej matki, mówiła tylko, że ojciec mój miał dwa złote zęby na prozdzie. Pochodził ze Stanów i nigdy nie miał dość pieniędzy. Wreszcie porzucił moją matkę i pojechał do Stanów, aby się dorobić i widocznie zapomniał, że ma żonę i syna.

dobłą wolę, ale — nie mają pieniędzy. A z próżnego nawet pan minister nie naleje.

Więc dzieląc się z wami, mili bracia, chudem jakiem przy chudej święconce, życząc serdecznie wam i sobie, aby zapanowała w Polsce z jednej strony sprawiedliwość, oszczędność i życzliwość, z drugiej strony wyrozumiałość, cierpliwość i pogoda ducha, która raduje się świętem Zmartwychwstania i śpiewa mimo wszystko z głębi wierzącego serca: „Wesoły nam dzień dziś nastal”.

Wesoły dzień! A równocześnie w dalekiej Abisynji grają armaty, pękają bomby i umierają ludzie. Ładna mi Wielkanoc! A przecież Włosi są katolikami, a także Abisyncyzy są choć w jednej części chrześcijanami, albowiem druga część ich wiary jest żydowska, a trzecia — zdaje się — jeszcze trochę pogańska.

Pisz do mnie w sprawie abisynskiej pewien czytelnik i pyta mnie, jakbym był mądrym politykiem albo zgoła ministrem Beckiem, dlaczego to Kościół

Harold spojrzal z ukosa na olbrzymiego kosmacza i wrzucił ramionami.

— Dobrze! Dobrze! A teraz machajcie do domu. Tędy prosto, prosto, a potem szósta ulica na prawo. Traficie? No to żegnajcie, ja idę na poszukiwanie pracy. A gdyby się pokazał ten Chińczyk, to chyba mu dacie radę?

— Boję się tego gada — wyznał otwarcie Al, wstrząsany niemiłym dreszczem, na samą myśl o złowrogim Chińczyku.

Kiwnawszy na pożegnanie ręką, eksmilioner dał nurka w rojne ulice Los Angeles. Resztę dnia spędził na daremnem poszukiwaniu pracodawców, mających wolne posady dla chętnych młodzieńców.

Zły i głodny łaził po mieście aż do ciemnej nocy.

Wreszcie zawrócił do domu, postanawiając odłożyć do jutra poszukiwanie zajęcia.

Na drugi dzień Harold od rana wyszedł na poszukiwanie roboty, zostawiając Ala na straży.

Dnia tego sprzyjało mu szczęście, gdyż zaraz na trzeciej ulicy dostał posadę sprzedawcy w sklepie bławatnym.

Właściciel mr. Aaron Levy wziął go z miejsca do nauki.

— Uważaj pan. Tu jest półka na różne sztuki materiałów. Każda sztuka ma swoją przegródkę, na której jest oznaczona cena. To genialne, co? Odrazu się widzi, ile jaki materiał potrzebuje kosztować. Naprzykład, co potrzebuje kosztować tego krepdeszynu?

— Siedemdziesiąt pięć centów — odparł Harold, spojrzawszy na cenę.

— No widzi pan! Genialne co? A ile pan dasz tego krepdeszynu za siedemdziesiąt pięć centy?

— Całą sztukę? — zapytał niepewnie Harold.

— Uj, pan sobie potrzebujesz robić kpinki z poważnego kupiec? Dasz pan za siedemdziesiąt pięć centy jeden metr.

nie bierze w obronę napadniętych Abisynczyków przeciwko napadającym Włochom?

O ile pamiętam, Ojciec święty w serdecznych słowach prosił i wzywał, aby sprawę abisynską załatwiono pokojowo. Nie jego wina, że stało się inaczej.

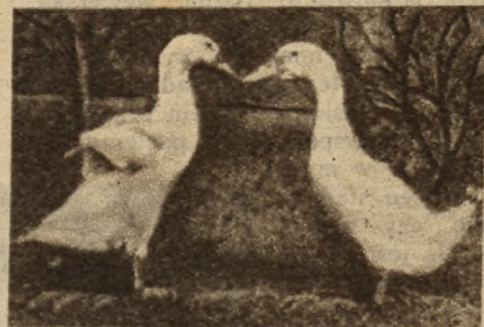
Pozatem — zdaje mi się — sprawa zgoła nie jest taka prosta, jak nam się wydaje. Gdy w Rosji bolszewicy mordowali miliony ludzi, dyplomaci europejscy siedzieli cicho jak mysz pod miotłą; a minister bolszewicki Litwinow siedzi nawet w Lidze Narodów i potępia okrucieństwa włoskie. Końby się śmiał! Gdy w Meksyku mordowano katolików, wypędzano kapłanów, palono kościoły, wielka Liga Narodów nie potrafiła nic na to poradzić. A tu nagle ogromne rozczulanie się nad Abisynczykami. Czy to tylko wszystko jest szczerze?

Zapewne żal człowiekowi tych biednych, czarnych Afrykańczyków, którzy mogą podziwiać europejską kulturę w formie bomb, granatów, czołgów i gazów. Podziwiam też męstwo i wytrwa-

Ale jak pan odmierzysz ten jeden metr? Musisz pan ciągać ten materiał jak gumę, to odmierzysz pan metr, ale naprawdę to jego będzie tylko dziewięćdziesiąt centymetry. To potrzebujesz pan pomyśleć, że na dziesięć metry mamy jeden metr czystego zarobku. Mam głowę, co?

— O, naturalnie, że pan ma głowę — przyświadczył Harold, spoglądając na baniastą głowę kupca.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Rosmowa kacsek

*Moja pani, moja pani,
kwa, kwa, kwa.*

*Jakto człowiek, jakto człowiek
o nas dba.*

*Ledwo jedną pełną miskę
hap — się wje,
to już człowiek nam podtyka
miski dwie.*

*Życie płynie nam leniwie
kwa, kwa, kwa.
Mało pracy, dużo tłuszcza
każda ma.*

*Na to druga odpowiada:
Kwa, kwa, kwa.*

*Mnie się zdaje, że w tem człowiek
cel swój ma.*

*Ty sa wiele, ty sa wiele,
siostró, jesa.*

*Wąskich bioder, smukłej linji
raczej strzeż!*

*Chcąc żyć długo, poznaj siostró
prawdy treść:*

*Dużo trza używać ruchu,
mało jeść!*

łość tych różnych rasów, dedesmaczów, fitaurarich i jak tam się te różne stopnie wojskowe nazywają. Podziwiam negusa w kusej pelerynie z parasolem nad głową, który tak zawzięcie broni swego kraju.

Ale z drugiej strony podobno Abisynja ongi zagarnęła różne szczepy, nie pytając, czy tego chcą (jak ongi grzeczni sąsiedzi uczynili z Polską); podobno panuje tam jeszcze niewolnictwo i dzikie nieraz obyczaje. Przytem jest to kraj ogromnie wielki, który mógłby wyżywić mnogo ludzi, Włochy zaś są tak przełudnione i przepełnione, że niezadługo — być może — zabraknie dla wszystkich ziemi i chleba i makaronu. Więc chude Włochy pchają się, gdzie mogą i gdzie jeszcze widzą nieco wolnego miejsca, albowiem resztę świata zagarnęli dla siebie Anglicy, Francuzi i inni.

Tak czy owak, oby dzwony wielkocne wypłoszyły ze świata żgieł wojny; oby radosne Alleluja rozległo się w sercach naszych, rodzinach naszych i w całym kraju, zwiastując lepszą przyszłość narodowi i światu. *Wuj z Baranowa.*

Komondor — Liptak — Owczarek tatrzański

(Rola i Ogród)

Od Redakcji: Poniżej kilka fachowych uwag o hodowli psów. Na ich tle autor — Pierwszy Asystent Zakładu Hodowli Ogólnej Uniwersytetu Jagiellońskiego, mówi o Owczarku tatrzańskim. Ten mało znany kudłaty stróż owiec świetnie nadaje się jako pies podwórzowy dla naszych gospodarstw.

Piękne uzupełnienie krajobrazu tatrzańskiego tworzą stada owiec z ich czworonożnymi kudłatymi stróżami „owczarkami tatrzańskimi”. Psy te nie są jedynie rodzime dla naszych gór i ich najbliższych okolic i są znane nietylko w tem środowisku. Nizina węgierska, góry bałkańskie i Pireneje w tym samym stopniu są ich miejscem zamieszkania.

Myliłby się ten, ktoby sądził, że owczarek tatrzański jest psem przystosowanym do współpracy z pasterzem w kierowaniu w myśl jego życzeń, stadem owiec czy bydła. Tak nie jest. Zwyczajny pies owczarski to coś zupełnie odmiennego od stróża stada, psa w ścisłym tego słowa znaczeniu pasterskiego, jakim jest „owczarek tatrzański”.

Psy tego typu wywodzą swój ród od zupełnie odmiennego pierwotnego psa dzikiego. Są to formy duże, silne, odważne i zdolne do odparcia napadu wrogów do boku swego pana.

Pierwotną barwą tych psów była barwa t. zw. dzika, zbliżona do barwy dzisiejszego wilka lub czarna. Chcąc uniknąć często tragicznych pomyłek dla odróżnienia pastników takich jak wilki, człowiek dobiegał osobniki bardziej różniące się umaszczeniem i tem samym łatwiej wpadające w oko, odbijające od otoczenia. Stąd powstała ta częsta u tej grupy psów biała barwa, jaką mają nasze owczarki tatrzańskie.

Poza Węgrami, gdzie roztoczono opiekę i zajęto się planową hodowlą tych psów, wytwarzając piękny, jednolity typ psa t. zw. „komondor” i w pewnej mierze Francją, gdzie wytworzono t. zw. „Psa Gór Pirenei”, wszędzie indziej, a także i u nas, hodowla tego psa leży odłogiem. Wynikiem tego jest bardzo wielka różnorodność w ich wyglądzie.

Oddawna już cieszyły się sławą i uznaniem wśród baców i juhasów psy z okolic Liptowa, skąd też często sprowadzali je na naszą stronę i stąd też zachowała się nazwa „liptaków” (psów liptowskich), które nie są niczem innym, jak właśnie owym wspomnianym „komondorem”.

Ogólnie biorąc, są to psy dość duże, raczej krępe niż wydłużone o dużej głowie, szerokiem czołem, dość silnie zwięzającej się w kierunku pyska. Uszy wiszące, niezbyt duże. Maść powinna być biała, włos długi, gęsty, czasem silnie kręcony przeważnie w okolicy łędźwi. Nos, obwódki oczne powinny być czarne: w dużej liczbie trafiają się osobniki o jasnych nosach i różowych obwódkach ocznych, co jednak nie wygląda ładnie. Ozdobą ich jest piękny, duży, obrośnięty długimi włosami ogon. Dość pospolicie zjawiskiem są szczecięta z bardzo krótkim ogonem, których ze względu na późniejszy wygląd,

w nim nadzieje, musimy poznać jego istotę duchową i właściwości fizyczne. Istotę duchową podkreślają i uzewnętrzniają, wierność, przywiązanie, czujność, łagodność, temperament. Z drugiej strony musimy sobie zdać z tego sprawę, że różne gatunki psów różnią się pod tym względem w tej samej mierze, jak ich budowa. Jednym słowem, odpowiedni pies na odpowiednim miejscu.

Powierzając pewne funkcje psu, musimy wziąć pod uwagę te cechy. Wielką krzywdę wyrządzilibyśmy naprzykład foksterrierowi, uwiązując go na łańcuchu, również taką samą owczarkowi, trzymając go tylko w czterech ścianach.

Nie chcę przez to twierdzić, że owczarek tatrzański nie odczuwa utraty wolności, jednak nie w tym stopniu co foksterrier. Z natury owczarek tatrzański to pies spokojny o temperamentie flegmatycznym, mało ruchliwy, jednak przytem bardzo czujny, wierny i oddany swemu panu. Wartości swe nasz owczarek okazuje zazwyczaj dość późno. W młodym wieku jest bardzo ufny wobec osób obcych i jeszcze nie zdaje sobie w pełni sprawy z nałożonych na niego obowiązków.

Cechy te, w połączeniu z wytrzymałością na niekorzystne warunki klimatyczne, przemawiają za tem, że



Owczarek tatrzański

nie należy pozostawiać do chowu. Największą różnorodność wśród tego typu psów spotykamy w budowie głowy. Psy te są bardzo wytrzymałe na niekorzystne warunki klimatyczne: mróz, deszcz, śnieg. Gorzej już czują się w upale letnim. Dlatego wskazanem jest strzyżenie ich w tym czasie. Jako stworzenia, stojące jeszcze na niskim stopniu kultury hodowlanej, są bardzo mało odporne na choroby natury bakteryjnej; największym ich wrogiem jest nosówka psia, której często ulegają.

W świecie zwierząt domowych człowieka współczesnego pies zajmuje do pewnego stopnia zupełnie wyjątkowe stanowisko. Nie przedstawia on w porównaniu z innymi tej wartości materialnej, (naprzykład co koń, (siła fizyczna), czy też spożywczej, co świnia). Równoważnik tych wartości materialnych znajdujemy u psa w jego inteligencji i w jego współpracy z człowiekiem. Nie chcąc, aby nas zawiodły, pokładane

w gospodarstwie rolnem może być bardzo użyteczny jako t. zw. pies podwórzowy.

Najbardziej pożałowania godnym stworzeniem, to pies łańcuchowy, pozostawiony własnemu losowi, któremu wolno tylko śnić o chlebie, bez należytej opieki ze strony właściciela. Język ludzki określa to jako „pieski (psi) żywot”.

Żaden pies przy tego rodzaju traktowaniu nie da ze siebie tyle, ileby mógł i chciał, staje się przekupny, leniwy itd. Chcąc mieć pełne zadowolenie z pracy swego psa, obojętnie z jakiej on jest rasy, w pierwszym rzędzie należy o niego dbać. Na czemże ma polegać ta opieka w omawianym przypadku? Z natury rzeczy pies podwórzowy w wielu wypadkach skazany jest na uwiązanie na łańcuchu. Aby jednak zapewnić mu pewną swobodę ruchów, najlepiej wiązać go na łańcuchu przesuwającym się na rozpiętym drucie z łatwym dostępem do budy. Buda psa to jego mieszkanie, gdzie pomimo wszystko spędza on wię-

kszą część dni swego żywota. Należy pamiętać, aby była zawsze w dostatecznej ilości i zawsze czysta ściółka, by buda nie przeciekała i nie była zbyt przewiewna. Wejście do budy powinno być zasłonięte od wiatru i śnieżyć workiem, niema przytem obawy, aby pies stał się dlatego mniej czujnym; niemniej ważną rzeczą jest usuwać wszelkie nieczystości z jej otoczenia.

W obecnych czasach coraz mniej spotykamy zdań, że pies nie powinien dostawać mięsa, przecież natura stworzyła go zwierzęciem mięsożernym, a dopiero współżycie z człowiekiem do pewnego

stopnia zmieniło jego charakter. W gospodarstwach rolnych trudności w zdobyciu mięsa dla psa są dość duże, jednak w miarę możliwości nie należy zapominać o tym podstawowym składniku pożywienia psiego. Z pasz produkowanych w każdym gospodarstwie w pierwszym rzędzie wchodzi w rachubę owies i żyto jako osypka i wszelkie strączkowe, jednak nie w nadmiarze i mleko pod każdą postacią. Suki karmiące należy żywić o wiele silniej i to paszami o dużej zawartości białka. Szczęnięta od czwartego tygodnia życia zaczynają już same próbo-

wać jeść, a najodpowiedniejszą dla nich karmą to owsiana kasza i mleko; a w czasie około 8-go tygodnia siekane mięso jako dodatek. Nie można zapominać o tem, że wszelkie niedociągnięcia ze strony hodowcy w stosunku do młodego organizmu nigdy w przyszłości nadrobić się nie dadzą. Zasada, którą każdy hodowca powinien się kierować w każdej dziedzinie hodowli, to chować na jakość a nie na ilość.

Starogreckie przysłowie mówi: Jaka pani taki pies, a więc oby tej pani czy temu panu przyniósł on zaszczyt a nie wstyd.
J. Jakóbiec.

CZY TY WIESZ?

Codziennie, niekiedy nawet kil-

kakrotnie w ciągu dnia, używamy różnych przedmiotów — nie wiedząc, w jaki sposób i dzięki czemu znalazły one zastosowanie w naszym życiu. Do takich przedmiotów codziennego użytku, bez których dzisiaj nie moglibyśmy się obejść, należy nóż i widelce. Używamy ich wszyscy bez wyjątku, nie zastanawiając się nad tem, że kiedyś ludzie pierwotni nie posługiwali się przy jedzeniu niczem innym, jak tylko własnymi palcami. W najdawniejszych czasach służył do dzielenia mięsa na drobniejsze kawałki nóż kamiany, potem zaczęto używać noży z brązu, z żelaza, a wreszcie ze stali.

Istnieje przysłowie, że potrzeba jest matką wynalazków. Na dowód tego może posłużyć historia pierwszego zastosowania noża i widelca takiego, jakiego używa się dzisiaj, którą przypisują kardynałowi Richelieu (czyt. Riszylje). Jako minister francuskiego króla Ludwika XIII, zmuszony był kardynał zasiadać

często przy jednym stole z posłem Hiszpanji, który przy jedzeniu, w sposób bardzo niewłaściwy, przytrzymywał palcami jednej ręki mięso, odcinał nożem kawałek, poczem brał go w palce ręki drugiej i dopiero wtedy podnosił do ust.



Kardynałowi Richelieu, wszechpotężnemu ministrowi Ludwika XIII było przykro mieć przy stole towarzysza tak się zachowującego. „Od jutra zjawić muszą się na stole okrągłe noże i widelce.”

Niedość na tem, posel hiszpański miał jeszcze i ten brzydki zwyczaj, że po jedzeniu używał noża jako wykalaczki, by z dziurawego uezębienia wydobyć resztki jedzenia. To już oczywiście najwięcej denerwowało kardynała, bardzo wrażliwego na zachowywanie dobrych form przy stole. Takiemu nadużyciu noża stołowego — którego jak wiadomo, nigdy nie zbliża się ust — trzeba było zapobiec. Noże były naonczas spiczasto zakończone! Zaokrąglonych jak dzisiaj jeszcze ówczesni ludzie nie znali! Ale od czego pomyślność i pieniądze. Pewnego dnia ochmistrz otrzymał rozkaz, by do stołu kardynalskiego podawano noże z końcem zaokrąglonym, któreby uniemożliwiły posłowi hiszpańskiemu niesmaczne manipulacje w uzębieniu. Równocześnie zjawiły się małe widelki, pierwowzór naszego widelca.

W taki to sposób, dbający o dobre obyczaje kardynał, zapoczątkował użycie noży i widelcy w tej postaci, w jakiej my je dzisiaj znamy i używamy.

L.

W święta wielkanocne

przynoszą „PRZEWODNIK KATOLICKI” swym czytelnikom nie tylko szczere życzenia wszelkiej pomyślności, ale i

przyrzeczenie,

ze nadal pozostanie takim pismem religijnym, które, jedyne w Polsce, daje w tak pięknej formie pełen obraz życia Kościoła i narodu w jego wszystkich najżywoźniejszych przejawach!

W tych niespokojnych i burzliwych czasach, walczyliśmy o dusze polskie, wskazujemy im drogę najlepszą do Boga! Dlatego nadal dbać będziemy o pogłębienie życia religijnego, dlatego nadal zespalać będziemy czytelników naszych z duchowym życiem Kościoła, przez treściwe a przystępne artykuły, wyjaśniające i broniące prawd naszej wiary!

Pozatem jednak „Przewodnik Katolicki” nie zapomni, jak i dotychczas, o godziwej rozrywce dla swego czytelnika.

Powieści nasze ogólnie się podobały i zawsze spotykały się z powszechnym zainteresowaniem!

Odpowiedzi Redakcji

Wł. Lom. Wiersze zatrzymujemy w tece. Nowych prosimy narazie nie nadsyłać.

Odpowiedzi udzielać będziemy tylko tym, którzy nadesłali znaczek pocztowy.

Obecnie śmiejecie się z niezwykłych przygód w które obfituje powieść R. Henniga: „Poganka z wyspy pod wiatrem”.

Niezadługo, dziś już możemy wam to zdradzić, wrzuci was piękna i zajmująca powieść Marji Czeskiej Maczyńskiej ulubionej przez naszych czytelników pisarki! Powieść ta, której druk niebawem zaczynamy, jest tak piękną, że wiele straci ten, kto zapomniawszy o odnowieniu prenumeraty, nie pozna jej za pośrednictwem Przewodnika Katolickiego!

Czy na artykułach z życia religijnego i interesujących powieściach wyczerpuje się wartość Przewodnika Katolickiego?

Kto nie chce pozostać analfabetą politycznym, ten

niech skrupulatnie przeczyta fachowo redagowany dział: Z tygodnia! Daje on treściwy, bezstronny pogląd na najważniejsze wydarzenia polityczne z ostatnich 7 dni. Ten dział to najłatwiejszy sposób doskonałego zorientowania się w wielkich wydarzeniach wstrząsających obecnie światem.

Pielgrzymkę do Ziemi św. organizuje się w dniach od 12 maja do 2 czerwca b. r. Wszelkich informacji udziela Sekretariat Tow. „Pielgrzym”, Poznań, św. Józefa 5.

Pielgrzymkę do Częstochowy w dniach od 9 do 11 maja urządza Kat. Towarz. Rob. Poznań-Fara. Koszta podróży około 9 zł. Dla zamiejscowych zniżki na dojazd do Poznania.

Obok tych rzeczy każdy numer przynosi szereg bogato ilustrowanych i interesująco redagowanych działów: treściwy przegląd rolniczy, fachowa, niezbędna dla gospodarzy „Rola i ogród”, praktyczne rady dla gospodyń i matek, artykuły podróżnicze, nowele, wynalazki i ciekawostki. W Przewodniku Katolickim jak w czułym zwierciadle, odbija się obraz świata i Polski, obraz walk i zwycięstw, dążeń i ogólnych zainteresowań!

Nie zapominamy też o dzieciach waszych! Dla nich Przewodnik Katolicki przynosi co tydzień ulubioną gazetkę: „Mały Przewodnik”, który, możemy to śmiało powiedzieć, zalicza się do najlepiej redagowanych pisemek dla dzieci w Polsce. „Mały Przewodnik” nie zatrąje duszyczek waszych dzieci, jak to nieraz czynią inne pisemka, lecz pouczy je w sprawach wiary, stając się dla nich przyjacielem najlepszym, doradcą i opiekunem.

Życzymy wam Wesołych Świąt, rzucając następujące hasło:

Kto nie jest, niech stanie się od dziś abonentem „Przewodnika Katolickiego”.

Dobry uczynek spełnisz

złożeniem ofiary na resztę kosztów budowy Pomnika Najświętszego Serca P. Jezusa w Poznaniu. PKO nr. 207 470.

Adoracje N. S.

12. Wysoka i Lwówek 13. Jarocin i Otorowo. 14. Lutynia i Pniewy. 15. Runowo i Biezdrowo. 16. Morzewo i Psarskie. 17. Pogorzelnica i Siłna. 18. Sadki i Brody.

Kilka praktycznych wskazówek



Ryc. 1. Pielegnacja obuwia

Jeżeli chcecie, aby wasze obuwie długo trwało i ładnie wyglądało — to musicie je starannie pielęgnować. Bardzo ważną rzeczą jest wietrzenie obuwia. Wietrzenie takie powinno się odbywać co dziesięć dni — i trwać cały dzień. Trzewiki powinny stać o ile możności w przewiewie — ale nie na słońcu. To bardzo się przyczynia do utrzymywania skóry w dobrym stanie. Oczywiście poza wietrzeniem należy trzewiki codziennie bardzo starannie czyścić. Trzewiki przemoczone suszy się również w miejscu przewiewnym — a nie na słońcu a już zgoła nie przy piecu.

Ryc. 2. Jak zapobiec wysychaniu krajane go chleba

Wiemy doskonale jak szybko wysycha pokrajany chleb. Szczególnie latem daje nam się to we znaki — w podróży, u pracy, na wycieczce a nawet i w domu, gdy od kolacji lub podwieczorku zostanie nam pokrojony chleb. Po kilku godzinach już zeschnie się i trudno podać go do jedzenia. Jest do-



Wazoniki i łądzyki kwiatów należy splókać czystą wodą i końce łądzyk kwiatowych nieco przyciąć na ukos ostrym nożem, a nie nożyczkami.

Ryc. 5. Ziemiak i cytryna środkami upiększającymi

Świecący się nos jest dla wielu kobiet prawdziwą tragedją. I nic dziwnego — przykro jest młodej ładnej osobie mieć nos świecący jak latarnia. Aby usunąć tę wadę piękności, wystarczy pokrajać surowy ziemniak w plasterki i wycierać nos temi soczystymi plasterkami.

skonały sposób na utrzymywanie krajane go chleba w stanie świeżości. Oto owija się pokrajane skibki chleba w świeże listki salaty, w których chleb się doskonale przechowuje. Oczywiście główkę salaty należy najpierw rozebrać, wymyć i wysuszyć na sicie i dopiero w te wymyte i osuszone liście należy chleb zawijać. Wygląda to bardzo apetycznie i jest naprawdę dobrym choć prostym sposobem.

Ryc. 3. Tłuste plamy

Tłuste plamy są naszą „zmarą“, tak trudno je wyczyścić. Nieraz dla jednej tłustej plamy trzeba ubranie dawać do pralni chemicznej, a to przecież niemało kosztuje. Na wszystko jednak są sposoby. Spróbujcie, miłe czytelniczki, usunąć tłuste plamy zapomocą soli kuchennej. Wynik przejdzie wasze oczekiwanie.

Ryc. 4. Kwiaty cięte

Wszyscy lubimy mieć w mieszkaniu wazoniki pełne ciętych kwiatów. Cieszą one nasze oczy pięknymi barwami i napelniają pokoje miłą delikatną wonią. Niestety cięte kwiaty szybko więdną... Aby przedłużyć ich krótki żywot — dobrze jest dodawać do wody, w której stoją kwiaty, niewielką ilość soli. Skutek jest nadzwyczajny.

Przypominam, że wodę w wazonikach należy zmieniać codziennie.



Sposób nieszkodliwy prosty, tani i niezawodny.

Cytryna jest również doskonałym środkiem upiększającym cerę. Stosuje się ją dwojako: Na skórę o dużych porach — używa się soku z cytryny w sposób wskazany na obrazku; na cerę ścisłą — stosuje się nacieranie grubo obraną skórką z cytryny (cytrynę należy poprzednio umyć). Olejek ze skórki cytrynowej wnika w skórę, oczyszcza ją i odżywia.



Z TYGODNIA: Kto chce podboju świata?

Senat uchwalił ustawę mleczarską

Jeszcze przed zamknięciem sesji budżetowej senat zdążył uchwalić ustawę o mleczarstwie. Na mocy tej ustawy mleczarnie poddane będą dozorowi ze strony izb rolniczych. Izby orzekać mają, czy ten lub ów zakład mleczarski jest celowy. Ustawa popiera spółdzielnie mleczarskie na niekorzyść mleczarni prywatnych i małych. Mleczarnie spółdzielcze, odbierające mleko wyłącznie od swych członków, byłyby zwolnione od podatku przemysłowego.

Wezwanie marszałków

Przed odroczeniem izb obaj marszałkowie zalecali posłom i senatorom pracę „w terenie”. „Umiejętna i uczciwa informacja społeczeństwa”, co się robi „dla usuwania zła” i dla „pobudzania postępu” w naszym życiu ma — zdaniem marsz. Prystora — uspokoić i zespolić różne warstwy społeczne około państwowości polskiej, ugruntowanej na nowej Konstytucji.

Poco wybory?

Hitler jednocześnie z obsadzeniem Nadrenji i propozycjami dla Europy zarządził wybory do sejmku. Sejm niemiecki składał się niemal z samych narodowych socjalistów i bodaj że wcale nie pracował, nawet budżetu państwa nie uchwalił. Sejm ten był i jest pod rządami Hitlera jakby wiecem, na którym przemawiają wodzowie narodowego socjalizmu, a słuchacze-posłowie ich oklaskują i uchwalają bez rozpraw to, co im się narzuci. Dlaczego więc Hitler zarządził wybory do nowego sejmku? Chodziło mu o poparcie całego narodu dla tej polityki zagranicznej, którą on nazywa polityką „honoru, pojednania, pokoju i równouprawnienia”. Naród niemiecki miał przytaknąć jego polityce i okazać wodzowi swemu „wdzięczność” zato, co on już dla Niemiec dokonał.

Wybory z dnia 29 marca przyniosły Hitlerowi zwycięstwo i zadowolenie: na 45 milionów 429 tysięcy uprawnionych do głosowania 44 miliony 410 tysięcy głosów padło na jedyną listę narodowo-socjalistyczną. Na tej liście były nazwiska: Hitlera, Hessa, Fricka, Goeringa, Goebbelsa, słowem tuzów, rządzących dziś Niemcami. Tylko 543 tysiące głosowało przeciw lub oddało kartki nieważne. I ci byli najodważniejsi. Załedwie 477 tysięcy osób wstrzymało się od głosowania. I one były również odważne.

Nastroje

Gdzie się ujawniła najbardziej zwarta większość za Hitlerem? W Zagłębiu Saary, która rok temu wróciła na łono Rzeszy. Tam tylko 1/10% głosowała przeciw liście hitlerowskiej. Gdzie się okazała największa liczba wrogów polityki i rządów Hitlera? W wielkich miastach, np. w Berlinie (53 tysiące głosujących przeciw Hitlerowi), w Hamburgu (37 tysięcy, w stosunku do liczby mieszkańców jeszcze więcej niż w Berlinie); pozatem w Saksonji (80 tys.), w Westfalji (47 tys.), w Badenji (26 tys.). Były to głosy przeważnie ukrytych komunistów i socjalów. Gdzie się najmocniej powstrzymano od głosowania? Na Śląsku Opolskim (44 tys.). Stanowi to załedwie 5% uprawnionych do głosowania. Odsetek niegłosujących w Niemczech był jednak znacznie niższy: 1%. Niegłosującymi na Śląsku byli głównie Polacy. Nie mogli oni wystawić listy polskiej, więc woleli zrzec się udziału w głosowaniu.

Stanowisko katolików

W miastach i prowincjach katolickich liczba głosów przeciw Hitlerowi i liczba powstrzymujących się od udziału w wyborach była niewielka. Rząd nie niecki zwrócił się do biskupów, aby nawoływali wierznych do głosowania. Biskupi to uczynili, ale zastrzegli się w liście pasterskim, że głosowanie katolików na listę hitlerowską nie ma oznaczać wcale, by katolicy goździli się na politykę rządu względem Kościoła. Katolicy przez udział w głosowaniu chcą okazać — jak mówi biskup berliński — że pragną „pokoju wewnętrznego”.

Niezupełnie swobodne, ale naogół szczerze

Oczywiście głosowanie nie było całkiem swobodne, było ono często jawne i zbiorowe. Mimo to większość Niemców głosowała szczerze, wierząc, że polityka Hitlera przyniesie narodowi pokój, równouprawnienie i świetną przyszłość.

Stare i nowe propozycje

Dnia 1 b. m. Hitler przez posła Ribbentropa złożył rządowi angielskiemu następujące propozycje: 1) niepowiększanie przez 4 miesiące załogi w Nadrenji, a zmniejszenie jej, o ile to samo uczyni Francja i Belgja, 2) na 25 lat układ wzajemnej pomocy i o wzajemnym nianapadaniu z Francją i Belgją

(i może Holandją), przyczem Włochy i Anglja układy poręczyły, 3) układ lotniczy, 4) rozbrojenie moralne, m. innymi usunięcie z książek i pism jątżących ustępów, 5) układy o nienapadaniu z innymi państwami europejskimi, 6) powrót do Ligi Narodów z zastrzeżeniami, 7) powstrzymanie wyścigu zbrojeń.

Dowolne przypuszczenia

Na kogo Niemcy wpierv uderzą? „Na najtchórzliwszych” — odpowiada jeden Francuz. A drugi prorokuje: „Naprzód na Austrię, potem na Czechy, a następnie na Polskę”. Czy nie czasem na Gdańsk i Klajpedę ma chętkę Hitler? — zapytuje minister francuski Flandin. Są to kombinacje dowolne.

Podbój duchowy równie groźny jak orężny

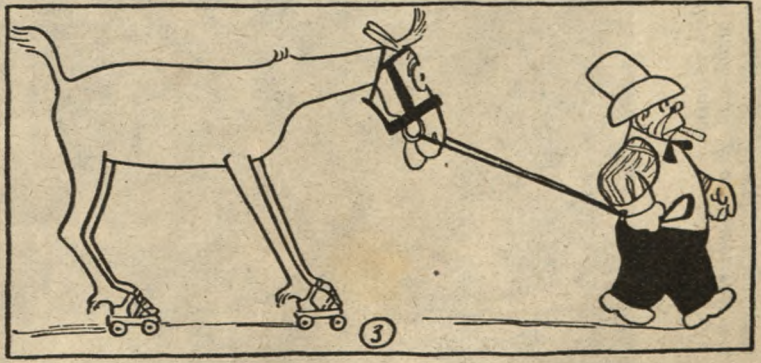
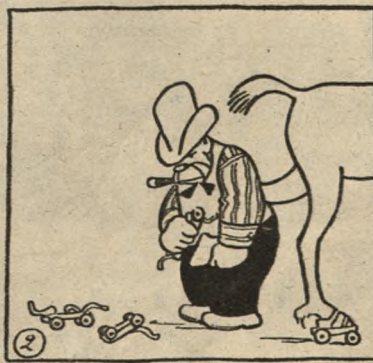
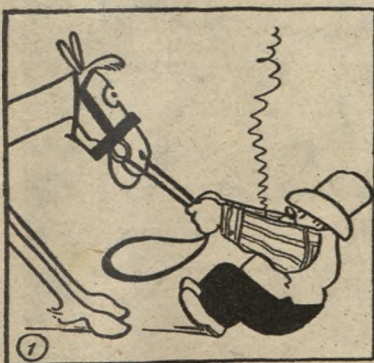
Hitler, być może, jeszcze nie ma szczegółowego planu, co naprzód, a co potem zajmie. I niekoniecznie myśli on o podboju orężnym. Oręż w rękę jego to groźba dla nieposłusznych, to postrach dla tchórzów. Ma on na widoku raczej podbój duchowy, o wiele szersze zakreślający granice niż podbój ogniem i mieczem. Podbój ten Hitler chciałby uskutecznić przez rzucenie oroku na Europę. Pod urokiem niemieckiej siły zbrojnej, woli, organizacji, posłuchu i pracy ugięłyby się narody obce i uznałyby się za sojuszników Rzeszy, czy też za jej półpoddanych. Te narody zachowałyby swe rządy, prawa i ziemie, ale byłyby shitleryzowane duchem. Nie wyklucza to zresztą zaokrąglenia obecnych granic niemieckich.

Trzy narody myślą o podboju świata

Hitler w myślach o podboju nie jest odosobniony. Do podboju świata przez akcję komunistyczną i rewolucję dąży Moskwa; do podboju Azji, Australji i Ameryki pchają Japonę wojskowi narodowcy japońscy. Ludzkość nie może drzemać słodko i spokojnie wobec tych prądów zdobywczych, wspieranych olbrzymimi armjami.

Negus na czele 40 tys. żołnierzy atakował Włochów koło jez. Aszangi, lecz musiał się cofnąć po 12 godzinnej bitwie. Zginęło 7 tys. Abisyńczyków, 1000 żołnierzy i 56 oficerów włoskich jest rannych i zabitych.

Do Warszawy przybył Łotysz Munters, sekretarz lotewskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Chodzi o zbliżenie państw nadbałtyckich z Polską i o pojednanie litewsko-polskie.



Nie trzeba siły — starczy spryt!

Za uszć ciągnę z całych sił, lecz nie dam rady. Rób co chcesz! Czyżby z powagi mojej drwił? Wierzchowiec mój, uparty zwierz?

Na upór lekarstw znajde huk, więc i konisko z miejsca ruszę. Wrotki przytwierdzam mu do nóg, do posłuszeństwa bestję zmuszę.

Wygrałem! W jaką zechcę stronę pchną teraz konia śmiegle wrotki. Potem odpocznę, zjem święconę... koniec przygody, koniec zwrotki...



ZMARTWYCHWSTANIE DUSZY

A. F. Borthwick.

Wnętrze wspaniałej, gotyckiej katedry. Pod jej wyniosłym sklepieniem opartym na rzędach kolumn, ostre łukami złączonych biją się ze sobą mrok i światło. Światłem rozjaśnione presbiterjum, gdzie przebywa Chrystus Ujany i smuga światła tam, gdzie On sam zbliża się do duszy pogrążonej w mroku. Z twarzą ukrytą w dłoniach, wsparta o zimny kamień filaru, kłęczy niewiasta. W duchowej rozpacz w kościele przyszła szukać ratunku. Dusza zamarta pod wpływem winy. Lęk, opuszczenie, rozpacz. Kto zbudzi z śmierci grzechu duszę, jeżeli nie Ten, który rzekł: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot”. I taki biały, taki jasny jak w dzień Zmartwychwstania zbliża się Chrystus, a z Nim do duszy zbolelej, do duszy grzechem zabitej wchodzi na nowo światło — światło nowego duchowego życia. Dusza zmartwychwstaje. Z Chrystusem i tylko przez Chrystusa.